ROK XI. PAŹDZIERNIK — 1911 ROK. TOM X (CXIX).



Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną Górą. — Filia w Warszawie: Al. Jerozolimska 29

1911.

Rok 1911.

Dzwonek Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.

Wspaniałe premium „Dzwonka Częstochowskiego" na rok 1911 stanowić będzie:

Album widoków
Klasztoru Jasnogórskiego
w Częstochowie

Wielce artystycznie wykonane

Cenne to premium otrzymają, bez wyjątku, wszyscy prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego".

Nigdy może jak dzisiaj, gdy żałobą okryła się Jasna Góra, a wraz z nią wszystkie ziemie polskie, nie było tak wielkiej potrzeby otoczyć bezgraniczną miłością tego świętego miejsca, złożyć dowodów, że wiecznie je czcić będziemy i wiecznie drogiem nam będzie. Nigdy jak dzisiaj, gdy wrogowie Maryi usiłują je zbeszcześcić, gdy z powodu zbrodni, popełnionej przez jednego z przestępców chcą rzucić cień na cały nasz katolicki ogół. W chwili takiej wszyscy dobrzy Polacy powinniśmy stanąć ramię przy ramieniu, serce przy sercu. Modlitwą i czynem powinniśmy zaznaczyć, żeśmy wiernymi sługami i czcicielami Maryi, Królowej Nieba i ziemi, która sobie swój Tron ziemski obrała na Jasnej Górze w Częstochowie.

Jednym z najpierwszych obowiązków naszych w czasach, gdy wrogowie Maryi walczą za pomocą tysiącznych gazet i książek bezecnych, jadem zatrutych, gdy starają się zohydzić wszystko, co polskie i katolickie, jest ***czytanie pism i książek pożytecznych, czci Boga i Ojczyzny poświęconych.***



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo »Dzwonka Częstochowskiego«. Również błogosławieństwa »Dzwonkowi Częstochowskiemu« udzielił i Ojciec Święty Pius X.

Pamiętajmy, że Papież Pius X, zasiadający dziś na stolicy Piotrowej, wyrzekł: ***Niema szlachetniejszego posłannictwa, jak szerzenie za pomocą pism i książek zasad chrześcijańsko-katolickich.***

To samo głosił wielki Jego poprzednik Papież Leon XIII.

„Dzwonek Częstochowski", ten od lat wielu wierny i gorliwy czciciel Maryi, jest właśnie pismem, które w każdej rodzinie znajdować się powinno.

Popierajmy to pismo i jednajmy mu przyjaciół, gdyż przez to przyczynimy się do chwały Maryi, dobra Ojczyzny, spełnimy pragnienie Ojca Świętego. Najwyższego naszego zwierzchnika duchownego.

W roku 1911 „Dzwonek Częstochowski" drukować będzie piękną powieść jednego z najznakomitszych naszych pisarzy p. t.

□ „KLASZTOR". □

Powieść ta niewątpliwie obudzi wielkie zainteresowanie w jak najszerszych kołach naszych czytelników.

Dzieje ojczyste, a zwłaszcza porozbiorowe podawać będziemy w ***życiorysach i obrazach,*** pióra najcelniejszych pisarzy naszych.

Zamiast powieści ***„KOŚCIUSZKO",*** której druk z przyczyn od redakcyi niezależnych na pewien czas przerwać byliśmy zmuszeni, drukować będziemy niemniej piękne opowiadanie historyczne p. t.

„PAPIEŻ I CESARZ".

Czytelnicy znajdą tutaj wielką w dziejach świata postać mocarza, który sto lat temu, zaślepiony w swej pysze, chciał wstrząsnąć podwa-

ROK XI. PAŹDZIERNIK — 1911 ROK. TOM X (CXIX).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.

CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ul. Aleja Jerozolimska Nr. 29.

1911.

Drukarnia Polska, Warszawa, Jasna 18/20.

Od Redakcyi.

„DLA MŁODZIEŻY i DZIATWY POLSKIEJ"!

Wierząc w to, że w młodzieży i dziatwie naszej spoczywa lepsza przyszłość Ojczyzny, oraz ulegając licznie wyrażonym życzeniom naszych Czytelników, pragnących

w bojaźni Bożej wychować młode pokolenie,

Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego" postanowiła wydawać oddzielne pisemko p. t.

„DLA MŁODZIEŻY i DZIATWY POLSKIEJ"!

Pismo to, redagowane i zasilane przez **pierwszorzędne siły literackie, obficie illustrowane,** otrzymywać będą bez **żadnej oddzielnej dopłaty** wszyscy nasi prenumeratorzy.

Pierwszy numer nowego pisma dołączamy już do tomu bieżącego, październikowego 1911 roku, wierząc w to, że w **każdym domu polskim** powitany będzie życzliwie, jako gość miły i pożądany.

Treść tomu październikowego 1911 roku,

ogólnego zbioru CXIX.

ILLUSTRACYE:

rzyli na słowo, a to dlatego, że dawał do zrozumienia, iż wiedział o tajemnicy testamentu. Zagadki testamentowej każdy mniej więcej był ciekawy, nikomu się nie chciało czekać na jej rozwiązanie przez całe lata, wszyscy pragnęli się jej dowiedzieć zaraz, wszyscy pragnęli znaleźć kogo, coby słowo tej zagadki wiedział i od kogo możnaby je było wydobyć, a że czego pragniemy, w to najchętniej wierzymy, nikt więc nie wątpił, że tym źródłem, wiedzącym sekret, jest pan Kąpalski.

Drugim celem objazdu krewnych, jaki sobie założył pan Dyonizy, było nasunięcie im myśli, że w pracy, na jaką byli skazani, ażeby woli stryjaszka zadość uczynić, nikt bardziej pożyteczny im być nie może, jak właśnie ten sam, co był tajemnicy testatora powiernikiem...

Do tego wziął się pan Dyonizy jeszcze przebieglej i zręczniej. Nie szło już tutaj o powtarzania wszystkim mniej więcej tego samego, trzeba było każdemu dać się domyślać, że Kąpalski może być pożyteczniejszym jeszcze, jak komukolwiek z braci i dla każdego inną wymyślać bajeczkę.

Ażeby mu wierzono, pan Dyonizy trafiał w usposobienie każdego, z przekornego, jakim był zawsze, gdzie o interes jego nie chodziło, stał się uprzedzającym i odgadującym myśli. Kropnickim mówił: iż go nieboszczyk doskonale objaśnił o sposobach prowadzenia z korzyścią amerykańskiego gospodarstwa. Plewiczowi napomknął, że są sposoby łatwego zbogacenia się, byle ich tylko umieć poszukać. Panu Ludwikowi szepnął, że w razie potrzeby mógłby mu wskazać spekulacye pieniężne, przynoszące ogromny procent bez żadnego ryzyka. Stanisławowi napomknął, że ma w liczbie swoich znajomych kilka domów, w których grube posagi dla córek są już oddawna przygotowane i w każdej chwili rozporządzalne, a Dominikowi, którego rozrzutność i lekkomyślność najlepiej zrozumiał, żartem niby powiedział, że chociaż testament ma być dopiero za rok, dwa albo nawet za sześć lat otworzony, zawsze kto jest sukcesorem stryjaszka, nie potrzebuje się obawiać braku, bo mu, gdyby chciał pożyczyć pieniędzy, każdy ich da z łatwością na rachunek spadku.

Tak pozasiewawszy rozmaite myśli w głowach spadkobierców, pan Dyonizy powrócił do miasteczka i czekał spokojnie, aż siew jego dojrzewać zacznie.

Z początku naturalnie żaden z sukcesorów nie myślał zwracać się do miasteczkowego Krezusa z prośbą o pomoc w swoich przedsięwzięciach.

Tylko w niedzielę, gdy przyjeżdżali do kościoła, starali się wszyscy po nabożeństwie zejść z panem Dyonizym, ażeby go wyciągnąć na chwilkę rozmowy na osobności i wybadać co do tajemnicy stryjaszka.

— Gdyby człowiek wiedział, — mówił do niego Kropnicki, — ile mu się w najgorszym razie z tego spadku dostanie, toby się można było jakoś urządzić z interesami odpowiednio.

— To prawda, — odpowiedział Kąpalski, — jeżeli tam ma być sto tysięcy, to nie warto robić takich zachodów i tyle ryzykować zdrowia i kapitału, co dla milionów.

— Więc tam będzie... sto tysięcy?.. — zręcznie podchwytywał dziedzic Rumianek, — tak pan powiadasz?..

— Ha! może sto tysięcy... może... miliony, — z chytrym uśmiechem podawał w wątpliwość Kąpalski.

— A! panie Kąpalski, zawsze z pana przekora... coby to szkodziło powiedzieć przyjacielowi, żeby wiedział, czego się trzymać.

— Ja sam wiem, żeby nie szkodziło, ale... nie mogę...

— Jużciż nie powiesz pan, że nie wiesz...

— Mówię zawsze prawdę... nie mogę...

— A więc wiesz, i mnie przyjacielowi powiedzieć nie chcesz...— urażał się dziedzic Rumianek.

— Panie Kropnicki, — bronił się pan Dyonizy, — sam byś nie powiedział, gdybyś był związany przysięgą.

Dziedzic Rumianek zamyślił się. Po takiej odpowiedzi nie wypadało zaraz nalegać.

Po chwili przypuszczał szturm znowu.

— Powiedz mi przynajmniej, panie Dyonizy, czy warto dla tego spadku kilka, może sześć lat żelaznej pracy poświęcać?..

— A!.. jabym poświęcił dwanaście, — wygadywał się niby mimowolnie Kąpalski.

— I warto się starać mieć najwięcej ze wszystkich sukcesorów?

— Spodziewam się... kto będzie miał najwięcej, weźmie połowę całego maj...

Tu nagle pan Dyonizy ręką zasłonił sobie usta.

— Panie Kropnicki, — rzekł po chwili, — nie wwódź mnie na pokuszenie... powiedziałem, czegom był nie powinien... zgrzeszyłem...

— Ależ panie Dyonizy, uspokój się... to pozostanie między nami... ja nikomu słowa nie pisnę...

— Właśnie ja sądzę, że kiedym się już wygadał, toby wypadało rozgłosić, żeby wszyscy wiedzieli, czego się trzymać i co ich czeka, jak woli stryja dopełnią, — odpowiedział z udaną poczciwością mniemany powiernik nieboszczyka.

— A! zmiłuj się, panie Kąpalski, nie rób tego, ja widzisz mam żonę i dzieci.

Po niemałem błaganiu, skrupulatny pan Dyonizy pozwolił się nareszcie przebłagać. Tajemnica miała pozostać tajemnicą między panem Kropnickim i nim.

Nic to jednakże nie przeszkadzało miasteczkowemu intrygantowi, w taki sam, lub inny sposób, tej lub następnej niedzieli zwierzyć tę samą tajemnicę, pod takim samym sekretem pozostałym sukcesorom, braciom Pańskim i Plewiczowi.

Kiedy Plewiczowi powiedział, że ten, co największy zrobi majątek, dostanie połowę schedy, pan Maryan z najzimniejszą krwią odpowiedział:

— A!... połowę... z ust mi pan wyjąłeś... to właśnie powiedzieć chciałem.

Widząc, że powiedzenie panu Maryanowi do niczegoby go doprowadzić nie mogło, Kąpalski zrobił jeszcze umyślną wycieczkę do Połówki, ażeby tam przypadkiem ze swoim sekretem wygadać się przed panią Filomeną, i od niej również, jak od wszystkich, przyrzeczenie dochowania tajemnicy za nią i za męża uzyskać.

XI.

Był w XVI wieku słynny szarlatan, który ułożywszy sobie z prawdziwych i zmyślonych imion szumne nazwisko Philippus Aureolus Paracelsus Theophrastus Bombbastus von Hohenheim, włóczył się po Europie, zachodził nawet do Egiptu, wróżąc przyszłość, wywołując duchy, lecząc choroby, wskazując skarby i ucząc sztuki robienia złota za pomierną cenę. Temu mistrzowi wydrwigroszów przypisują wynalazek sławnej maksymy: *mundus vult decipi, ergo decipiatur*, świat chce być oszukiwanym, więc oszukujmy.

Zdaje się, że pan Dyonizy Kąpalski zapatrzył się na tę maksymę i powiedział sobie:

— Otóż są ludzie, którzy nie poszli za rozsądną radą najstarszego brata, człowieka mającego wytrawny sąd o rzeczach, doświadczenie i umiejącego praktycznie prowadzić interesa. Ludzie ci chcą iść o własnych siłach i głowie, choć siły mają za mało i głowy nie dość dobrze zaopatrzone. Cóż się z nimi stanie?.. wpadną w ręce oszustów, którzy na nich będą korzystać. Co mi to szkodzi, że ich w inne ręce nie puszczę i że sam na nich skorzystam?.. Oni stracą, coby w każdym razie stracili, a czy to zyskam ja, czy kto inny, w gruncie jest wszystko jedno, bo zawsze ktoś zyskać musi.

Potworna ta maksyma częściej się przytrafia w życiu, niżby się na pozór zdawało. Jest ona jednym z tych wybiegów sumienia, któremi się staramy oczyścić przed samemi sobą z rzeczy które nas plamią.

Żądają od nas naprzykład rzeczy niegodziwej, ale zyskownej. Kto ma poczciwość w sercu, ten ją odrzuci bez wahania, lecz na języku tylko poczciwy, ten sobie powie:

— Nie zrobię ja, to zrobi ktoś inny — nie w mojej mocy przeszkodzić, żeby się to nie zrobiło... dlaczegóż kto inny ma zarobić, a nie ja?..

Od takich rzeczy człowiek zaczyna na złej drodze, a raz zacząwszy, idzie dalej. Później już nikt od niego nie wymaga złego czynu, własna chęć zysku popędza go, żeby szukać sposobności do popełnienia go, a przygłuszone sumienie, zadawalnia się jeszcze podrzędniejszą wymówką.

— Gdybym ja tego nie był zrobił, to byłby zrobił kto inny.

Tak samo było z Kąpalskim. Nie wiedząc nic w istocie o testamencie, i nie mając żadnych widoków, prócz własnego zysku, udał się za wtajemniczonego i starał się zyskać zaufanie wszystkich krewnych pana Piotra, oprócz Urbana, którego znał zbyt dobrze, ażeby nie przewidział, że z nim w taki sposób nic nie wskóra.

Wszyscy po kolei zaczęli wpadać w jego sieci.

Kropniccy rozpoczęli, prawda, na własną rękę niepraktyczne, a kosztowne ulepszenia gospodarskie; Plewiczowie, nie radząc się pana Dyonizego, stawiali na rozmaite dozwolone i zakazane loterye i szukali po dziennikach ogłoszeń o różnych korzystnych i zyskownych interesach; Ludwikowstwo robili pieniędzmi prawie lichwiarskie obroty; Stanisław jeździł po okolicy, poszukując największego posagu, a Dominik pędził życie wesoło, nie oglądając się na jutro, tracąc pieniądze i mówiąc: jakoś to będzie! którem to zdaniem ludzie jemu podobni odpędzają zwykle od siebie wszelkie kłopoty o przyszłość. Lecz pierwsze niepowodzenia i zawody, przypędzały ich do Kąpalskiego, który na nich oczekiwał, jak jaki pająk na muchy.

W Rumiankach okazało się, że niektóre z kosztownych maszyn zaraz po zakupieniu trzeba było odłożyć do składu rupieci. Państwo Plewiczowie parę razy już się złapali na ogłaszanych wielkich spekulacyach i sposobach zrobienia majątku, i parę razy ponieśli sporą stratę na próby i koszta nabycia owych sposobów. W Trzygroszach przytrafił się dzień sądny, bo dowiedziano się, że jedna z lokacyj kapitału przynosić mająca ogromny procent, padła ofiarą podstępnego bankructwa dłużnika; Stanisław w jednem miejscu ledwie się zdołał wycofać z zaręczyn, dowiedziawszy się, szczęściem, na czas jeszcze, że

posag, który mu obiecywano, był zmyślonym; Dominikowi, który część na niego z pozostałej po stryju gotówki przypadłą, umieścił u brata Ludwika na skromnym procencie, zabrakło pieniędzy i nie mógł znaleźć pożyczki tak łatwo, jak mu to pan Dyonizy przepowiedział.

Po każdej z takich przygód, poszkodowani pędzili do miasteczka, do pana Dyonizego, wołając:

— Kąpalsiu! ratuj!

— A co? — zapytywał Kąpalski.

Gość opowiadał swoją przygodę. Pan Dyonizy kręcił głową.

— Hm! hm! — mówił po chwili, — pewny byłem, że się tak stanie. Nie umiecie się wziąć do rzeczy... Urban wszystko zabierze... pójdziecie z torbami...

— Jakto?.. więc stryjaszek tylko temu zapisał, co najwięcej mieć będzie, a innych wydziedziczył?..

— Nie, tego nie zrobił... ale... wiecie sami... co połowa, to nie dziesiąta część...

— Cóż począć?.. radź, panie Kąpalski...

— Ja, żebym był na waszem miejscu, tobym się nie kłopotał.

— Cóżbyście zrobili?..

— Tak mam zaraz powiedzieć?..

— Przecież jestem waszym przyjacielem...

— Przyjaźń przyjaźnią, interes interesem... za cóż mam pracować, żeby Urban nie dostał, tylko kto inny?.. Moje pole sąsiaduje z Wyrwami, za co mam narażać się sąsiadom?..

Rozmawiający dorozumiewał się, o co chodziło.

— Moglibyśmy się ułożyć... — napomykał.

— A! moglibyśmy, — odpowiadał z niechcenia pan Dyonizy.

— Ileż pan chcesz, panie Kąpalski?..

— Za co?..

— Za to, żebyś tak pokierował moje interesa, żeby się mnie dostała połowa, a nie innym...

— Ho! ho! ho!.. to nad tem trzeba dużo pracować... i kto wie, czy już nie za późno...

— Mówicie, że za późno, panie Dyonizy?..

— No, za późno nie... jak kto ma głowę, wszystko zrobić może.

— A więc ile chcecie?..

— Targować się nie lubię... wezmę... ile dacie.

— Kiedyż?.. zaraz gotówką, czy ze spadku?..

— Zaraz gotówką nie chcę nic... zapłacicie mi ze spadku, i to tylko wtenczas, jak dostaniecie największy udział.

— Rozumie się, że tylko wtenczas.

Legataryusz... wymawiał sumę.

Pan Kąpalski przyrzekł nie targować się, nic to mu jednak nie przeszkadzało skrzywić się i odpowiedzieć:

— A dwa razy tyle?..

Interesant postępował, co mógł.

— Gdyby o pięć tysiączków więcej? — podbijał dalej cenę Kąpalski.

Klijent postępował jeszcze o parę.

A gdyby jeszcze z pięć?..

Sukcesor pana Piotra spostrzegał się nareszcie, że taką drogą do bajecznych sum dojść można.

— Panie Kąpalski, — odpowiadał, — z duszy serca bym postąpił... ale czyż nie wiecie, że ta scheda to dla mnie kot w worku... nie wiem, ile tam jest i czy można tyle dać... powiedz mi na sumienie, czy można?

Kąpalski kładł rękę na sercu i odpowiadał:

— Można.

Ta odpowiedź wyjednywała naturalnie podwyższenie ceny, poczem pan Dyonizy rozpoczynał znowu:

— A gdyby jeszcze z jaki dziesiątek tysiączków dorzucić?..

Jedni przystawali i na tę podwyżkę, wtedy ten targ szczególny szedł jeszcze dalej, niektórzy zatrzymywali się wkrótce i odpowiadali:

— Nie, panie Kąpalski, niech co chce będzie, więcej ani grosza nie mogę.

— Słowo!

— Słowo, chybabyście mi powiedzieli, ile tam jest... miljonów?..

— Nie powiem pod żadnym warunkiem... i tak już za wiele się wygadałem, — odpowiadał sumienny Kąpalsio, — lecz kiedy już nie chcecie postąpić, zgoda i na to, powiedziałem, że przystanę po przyjaźni na to, co dacie, i że targować się nie myślę... napiszcie oblig.

Interesant pisał oblig, zobowiązujący go do wypłacenia panu Dyonizemu w razie otrzymania największego udziału w schedzie po stryju, sumy w ten sposób umówionej.

— A teraz, panie Kąpalski, — pytał spadkobierca, — powiedzcie mi, jakim sposobem zrobicie, żebym ja dostał spadek największy?.. i kiedy go dostanę?..

— Kiedy, o to najmniejsza... choćby zaraz w pierwszą rocznicę, jeżeli się da, a jeżeli się nie da, to nawet i do szóstej poczekać warto... wy na tem nie stracicie, tylko ja dłużej na was będę musiał pracować, bez żadnej już za to dopłaty, — tłómaczył bezinteresownie pan Dyoni-

zy, — co zaś do tego, jak będę postępował, w tem moja tajemnica, powinniście tylko słuchać we wszystkiem moich rad i nie dziwić się, że i innym spadkobiercom dobrze radzić będę, gdy mnie poproszą.

— Innym?.. a to dlaczego?..

— Zapominacie o warunkach testamentu, a gdyby inni pobankrutowali, to wybyście musieli dorabiać się o tyle więcej, o ile oni mieliby mniej...

— Ach! prawda...

— Więc i innym dopomagać będę, jeżeli zechcą, ale to tylko w waszym interesie, i zawsze tak sprawę pokieruję, żeby się wam największa scheda jak najprędzej dostała, i żebym na ten oblig, coście mi napisali, mógł nareszcie dostać gotówkę.

Takich układów w ciągu kilku tygodni Kąpalski zrobił aż pięć.

XII.

Polityka pana Dyonizego, na pozór bardzo głęboka i zawikłana, była jasną i nietrudną do zrozumienia.

— Udało mi się — mówił do siebie, — mam ich wszystkich, oprócz Urbana, z którym dobrze zrobiłem, żem nie zaczynał, bo by mi innych poostrzegał i poodstręczał. Teraz nic łatwiejszego, jak pójść dalej. Każdy z nich jest pewnym, że jemu tylko zobowiązałem się dostarczyć największy spadek, i każdy z nich milczeć o tem będzie przed drugimi, jak grób. Ja mogę trząść wszystkimi, rządzić samowładnie w Rumiankach, Połówce i Trzygroszach, rozporządzać dowolnie sercem i kieszenią Stanisława, osobą i pieniędzmi Dominika. Co na tem zarobię, to moje, potrzeba tylko wynajdywać dla nich obroty i spekulacye, na którychbym mógł korzystać.

Jakiś głos wewnętrzny musiał mu szepnąć, że podobne postępowanie jest niepoczciwem, bo sobie przerwał i mówił w ten sposób:

— No, przecież rujnować ich zupełnie nie myślę, a że sobie zarobię na ludziach, którzy bądź co bądź, będą kiedyś bogaci, to w tem nic tak zdrożnego nie ma. Mam nawet w tem interes, żeby chociaż jeden z nich stał zawsze lepiej od Urbana... który, mniejsza... mi o to... dosyć, żeby się Urbanowi spadek nie dostał... A że tego dokażę, to dokażę... chciał stowarzyszenia, będzie je miał, lecz przeciw sobie. Rządząc wszystkimi w tym celu, ażeby jemu nie dać zostać pierwszym, uorganizowałem niechcący spółkę wszystkich braci przeciw jednemu. Ani podobna przypuścić, żeby pięciu nie miało jednego zwyciężyć,

a wtedy scheda największa przypadnie na jednego z moich klijentów, na czem sporą sumkę w każdym razie zarobię.

Wsparty na obligach braterskich, Kąpalski stawał tedy do walki z Urbanem, silna i poczciwa wola występowała przeciw woli złej a przebiegłej i każdy krok, który odtąd miał pan Dyonizy braciom doradzić, albo w ich imieniu wykonać, miał nietylko jeszcze korzyść osobistą przynosić, lecz działać na szkodę Urbana.

— Kampania moja zapewne, — mówił sobie jeszcze, — będzie trwała przez całe sześć lat... nie przewiduję, żeby przy mojem pośrednictwie mieli bardzo pomnożyć majątek, więc testamentu otworzyć nie będzie można... nic mi to jednakże nie szkodzi, mam czas i będę czekał przez sześć lat... szkoda nawet, że nie przez siedem... nazywałbym potem tę spekulacyę moją siedmioletnią wojną.

Jeszcze nad jedną okolicznością uznał za stosowne się zastanowić.

— To prawda, że jak przyjdzie jedna i druga rocznica, a ich majątki nie będą rosły, klijenci moi gotowi mi robić wyrzuty... Ha, to im powiem byle co: że nie odrazu Kraków zbudowany, że kto chce, musi siać, kto chce mieć zyski, musi robić nakłady, że kto nie ryzykuje, to nic nie ma, że wreszcie ja mam w tem interes, żeby każdy z nich pojedyńczo najlepiej wyszedł, bo mi o obligi chodzi, że kiedy ja cierpliwie czekałem na tysiące, to oni jeszcze cierpliwiej powinni czekać na miljony... Cielęta!.. uwierzą temu... wszystko pójdzie gładko, jak z płatka... Bodajto mieć rozum... bodajto być sobie panem Dyonizym Kąpalskim i mieć pod ręką stado głupich, którym los z Ameryki zsyła tyle pieniędzy, że własny stryj uznał, że ich im bez niebezpieczeństwa zaraz w ręce oddać nie można... Dudki!.. puścili się sami na licytację... i naturalnie temu, co najwięcej ma zapłacić, najwięcej będę sprzyjał... Zobaczmy...

To powiedziawszy, poszedł do drzwi, zamknął je na klucz, potem zapuścił roletę, a następnie wyjął z biurka obligi i zaczął je przeglądać, układając według porządku arytmetycznego sumy, na jakie były wystawione...

— Najmniej sympatyi mojej kupił sobie ten sknera Ludwik... ledwiem z niego wydusił, że napisał 84,560... aż mu łzy w oczach stały, tak się targował... dusigrosz!.. na ostatku postępował po kilka rubli, stąd i suma wypadła nieokrągła... niecierpię nieokrągłych sum... przechorowałbym chyba, żeby jeszcze się miała jemu dostać największa scheda... ale nie! tego nie dopuszczę... jego najmniej będę oszczędzał... Po nim następuje Kropnicki... 120,000... cztery zera na końcu, aż miło... Trzecia z kolei Filomena z Gromskich Plewiczowa, w asystencyi mę-

ża Maryana... 140,000... Wolę Plewiczów, niż Kropnickich... Dalej na czwartem miejscu Stanisław Pański... 165,000... Wolę Stanisława, niż Plewiczów, a wreszcie Dominik... nieoszacowany Dominik... ćwierć miliona... Wolę Dominika, niż wszystkich i przechoruję pewno, że się nie jemu największa scheda dostanie... ale to trudno... przy jego rozrzutności, mimo najlepszych chęci, trudno będzie dla niego zrobić największy majątek... trzeba go będzie za to najwięcej drzeć, a na głównego sukcesora formować drugiego z rzędu z miłych sercu mojemu, Stanisława... Z nim przytem nie tak trudne zadanie... dość posażnej żony wyszukać.

Zamknął papiery w tajemniczej skrytce biurka, podniósł rolety, otworzył z klucza drzwi i zaczął się przechadzać po pokoju, zacierać ręce, mówiąc do siebie:

— No, Kąpalsiu, winszuję ci, masz zatrudnienie na sześć lat, które ci się suto opłaci, bierz się tylko mądrze do rzeczy, a potem, choćby ci przyszła fantazya pałac wybudować, to będziesz na to miał... a potem, twoim najserdeczniejszym przyjacielem będzie najhojniej uposażony z sukcesorów stryjaszka, a ty, Kąpalsiu, przecież nie darmo masz rozum i będziesz potrafił na jego przyjaźń nałożyć podatek, z którym ci będzie bardzo dobrze i jeszcze lepiej, i jeszcze...

Gadatliwszy z ludźmi a gadatliwszy jeszcze z samym sobą, Kąpalski rozpoczynał swoją wyprawę w nader wesołem usposobieniu. Nigdy żołnierz raźniej i śmielej nie szedł do boju, w którym i słuszność sprawy i siła oręża wróżyła mu niemylne zwycięstwo, sposobność do chlubnego odznaczenia się, sławę i cześć u narodu, jak on wybierał się i przygotowywał na tę szacherkę pieniężną, w której myśl o niesumienności i nieprawości jego postępowania, myśl o przeszkodach na jakie, bądź co bądź, mógł natrafić, i którego jego plany całkiem zniszczyć mogły, wspomnienie o tem, że chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi, jaki wyrzut sumienia wreszcie powinny były choć cokolwiek go zakłopotać i dobry humor mu odebrać.

Kąpalski był tak pewnym siebie, że nie tylko zupełnego niepowodzenia, ale chwilowych nawet przeciwności nie przypuścił.

To prawda, że pan Dyonizy był człowiekiem zręcznym, przebiegle swoje plany układał i z talentem wszystko kartował, miałby więc prawo ufać w powodzenie swej sztuki, gdyby cel, który sobie założył był poczciwym i czystym. Nie wątpiąc bynajmniej o udaniu się takiej machiawelskiej spekulacyi, kapitalista miasteczkowy nie wiedział chyba, albo zapomniał o tem, że każdy zły czyn nosi w sobie zaród kary, który

albo wzrosnąć mu nie pozwala i owoc jego przed dojrzeniem niweczy, albo jeśli wzrostowi i dojrzeniu nie przeszkodzi, w przyszłości podminowywa, albo burzy gmach zbudowanych na nim przez sprawę nadziei.

XIII.

Nikt nigdy nie prowadził czynniejszego życia, jak Kąpalski, od czasu kiedy został powiernikiem i plenipotentem rodzeństwa. Trzeba było nadzwyczaj czynnej głowy i przytomnego umysłu, żeby jednocześnie kierować rozmaitemi interesami pięciu ludzi, u żadnego nie stracić zaufania, owszem, każdego przekonywać, że wszystko co się robi, robi się wyłącznie dla jego dobra, bez względu czy inni na tem korzystają, czy tracą, — a przytem nie spuszczać z oka głównego celu, szkodzenia gdzie się tylko dało Urbanowi, tak jednak żeby tej dążności insi bracia nie spostrzegli, i żeby sam Urban, albo nie mógł się jej domyślać, albo przynajmniej nie miał żadnej innej wskazówki prócz domysłu, że na jego szkodę działano.

Trzeba przyznać panu Dyonizemu, że się z tej swojej roli wywiązywał z niezwyczajną zręcznością i niesłychaną czujnością. Żadnej sposobności nie pominął, żadnej pory nie zaspał, z niczem się nie spóźnił, z niczem, czego nie chciał, nie zdradził.

Co do zaufania u swoich klientów, naturalnie, że nie u wszystkich mógł sobie zdobyć jednakowe. Ludwikowstwo, najpodejrzliwsi, z początku najbardziej go doglądali, i często nawet wyraźnie chcieli się sprzeciwiać jego woli, ale na opory tego rodzaju Kąpalski miał uniwersalny środek.

— Nie chcesz pan, żeby tak było, jak ja chcę? — mówił do opierającego się klienta.

— No juści, sam pan przyznaj... — zaczynał pan Ludwik, lub Kropnicki, lub inny.

— Nie idzie o to czy przyznam, czy nie — odpowiadał Kąpalski, — tylko o to, czy pan się zgadzasz z moją wolą, czy chcesz robić po swojemu?

— Tym razem wolałbym po swojemu...

— A no, to dobrze... rób pan, jak się panu podoba... ja od wszystkiego umywam ręce... wracam do domu i zaraz przez umyślnego umowę naszą odeślę.

— Ależ, panie Dyonizy...

— Niema ależ!... wracam do domu.

Naturalnie, że obawiając się, żeby pan Dyonizy nie wykonał pogróżki, i widząc, że do tego, co radził, przywiązywał tak wysoką wagę, klient udawał się do prośby i swojej własnej woli uroczyście się wyrzekał.

Kąpalski dawał się nie bez trudu wprawdzie przebłagać.

— No, no, — mówił nareszcie, — zostanę już, zostanę... choć sobie tylko z wami kłopotu napytałem i basta... Nibyście to zrozumieć niepowinni najprzód, że Kąpalski przyjaciel, więcby wam nic złego nie życzył, powtóre, że Kąpalski ma w tem interes, żebyście, wy, a nie kto inny, otrzymali najwyższą schedę, więc radząc wam na szkodę, radziłby na swoją własną, patrzcie, że Kąpalski do tego co ma, doszedł z niczego, więc potrafi robić pieniądze i kiedy się podjął zrobić wam majątek, to zrobi.

Rozumowanie takie było prawdziwym balsamem na boleść sukcesorów, jakiej doznawali na widok, że Przekora tak wyraźnie stawał przeciw ich woli, i niekiedy odradzał im to, w czem większą i pewniejszą upatrywali korzyść dla mniejszej, albo mniej pewnej.

— Wiesz pan, — mawiał jeszcze po takich rozmowach do tych, których opór musiał pokonywać, — ja na miejscu pana, gdybym był sukcesorem nieboszczyka stryjaszka i gdybym z takim jak ja Kąpalskim zrobił taką jak pan umowę, to gdyby mi Kąpalski kazał skoczyć w ogień dla mego interesu, daję słowo, żebym skoczył... A pan, skoczyłbyś?...

— Niechże mnie Bóg broni, — odpowiadał pan Ludwik, tak samo odpowiedział Kropnicki i Stanisław, a Dominik nawet po prostu powiedział panu Dyonizemu, że dziwaczy.

Tylko pan Maryan Plewicz, gdy usłyszał tę uwagę, rzekł spokojnie:

— Skoczyłbym... z ust mi pan wyjąłeś... myślałem o tem właśnie.

Z Ludwikowstwem tedy było zrazu najtrudniej, ale Kąpalski umiał sobie radzić i trząsł Trzygroszami, a kasą pana Ludwika rozporządzał jak swoją. Powiedział sobie, że jego i Dominika najmniej oszczędzać będzie, jednego ze wstrętu do cyfr nie okrągłych, a drugiego z wielkiej miłości, i dotrzymywał słowa. Rozpożyczał gotówkę, jaką miał Ludwik na bardzo wysokie procenta, nie tyle się troszcząc o bezpieczeństwo lokaty ile o wysokość porękawicznego, jakie za nastręczenie takiej pożyczki wyciągnął od dłużnika. Nastręczał swemu klientowi rozmaite spekulacje, pozornie niesłychanie świetne, na których w końcu zysk okazywał się żaden, lub bardzo mały, bo prawie cała korzyść w kieszeni pana Dyonizego tonęła. Czasem tylko w drobnych interesach tak działał, żeby Ludwik skorzystał grubo, i tem mu mydlił

oczy, wpajając przekonanie o swoim geniuszu do obrotów pieniężnych, przyczem i inne interesa mniej korzystne umiał przedstawić niezmordowaną swą wymową w najkorzystniejszem świetle, tak, że pan Ludwik w końcu uwierzył, iż do majątku dochodzi, licząc w nominalnej wartości różne rewersa i papiery, których, gdyby przyszło do spieniężenia na go*tówkę*, część tylko zrealizowaćby się dała.

Najłatwiej było z Dominikiem, który lekceważąc pieniądze, bardzo rzadko uwagami swojemi przeszkadzał Kąpalskiemu korzystać z siebie i prawie nieograniczenie mu ufał. Temu tylko pieniędzy dostarczać trzeba było, żeby miał na bieżące wydatki, o więcej bardzo mało się troszczył. Darł go też pan Dyonizy niemiłosiernie, tłómacząc się przed sobą z tego postępowania w znany już nam sposób.

— Kocham tego chłopca nad wszystkich, bo najwięcej by mi zapłacił, gdyby został głównym sukcesorem... ale z nim nie poradzi... straciłby i miliony, gdzież dla niego zrobić majątek? Trzeba go ratować z tej rozrzutności, dopomogę mu, żeby jak najprędzej stracił wszystko... jak nie będzie miał nic, to się ustatkuje i wyjdzie na człowieka... Muszę z niego zrobić człowieka.

Z tego na szczególnej logice opartego rozumowania wynikało, że pan Dyonizy, prowadząc swego ulubieńca do nędzy, robił mu największą przysługę.

Do takich dowodzeń często się ucieka szalbierstwo, ażeby własne okłamać sumienie.

W Połówce i Rumiankach nie tak już bezwzględnie postępował sobie Kąpalski.

Z Maryanem, prawda, byłby mógł zrobić, co chciał. Tego człowieka, któremu wszyscy wszystko z ust wyjmowali, najłatwiej można było postawić w takiem położeniu, żeby mu już naprawdę nic do włożenia do ust nie zostało. Lecz Maryan Plewicz miał żonę, którą już znamy, a pani Filomenie ta właśnie choroba na państwo, jaką w niej spostrzegał stryjaszek, najszkodliwsza podobno dla majątku z chorób ekonomicznych, przydała się na coś. Pani Filomena tak pragnęła pieniędzy, żeby za ich pomocą postawić swój dom, jak najwyżej na stopie arystokratycznej, że dla tego celu wszystko poświęcić była gotowa. Testament stryjaszka wymagał poświęcenia kilku lat pracy, żeby największą schedę uzyskać, zgodziła się więc na to poświęcenie, a kiedy Kąpalski zdołał w nią wmówić, że do osiągnięcia tego celu on najlepiej pomódz potrafi, zrobiła z nim układ wiadomy, lecz sama nie przestała go doglądać, i okazała w tem taką baczność i taki rozum, że ją podchodzić, choć się udawało Kąpalskiemu, lecz nie tak łatwo i nie tak grubo.

Pani Filomena powiedziała sobie: Co mi szkodzi, że przez rok, dwa, dajmy na to przez sześć lat, będę sobie ujmowała, wyrzeknę się wszystkiego, kiedy potem zostanę taką panią, jakiej na pięć mil w koło ludzie nie widzieli?

I spraktyczniała nagle, stała się gospodynią, zaczęła się zajmować zarządem majątku, wyręczać pana Maryana, który był zerem, i odbywać ciągłe konferencye z Kąpalskim, który miał z nią najwięcej kłopotu.

— A to metamorfoza, — mawiał do siebie, — żebym nie był Kąpalskim, to kto wie czybym na Połówce co skorzystał... ale co kobieta, to nie mężczyzna... nie dam się jej w kaszy zjeść...

Robił co mógł, żeby korzystać na Połówce i korzystał, ale korzystała i Połówka i podnosiła się coraz bardziej. Że ten wzrost nie był takim jakby być mógł przy takiej szczerej chęci podniesienia majątku, jaką miała pani Plewiczowa, zawdzięczać to należało najprzód panu Dyonizemu i jego pamiętaniu o sobie, a następnie temu, że pana Maryana żona nic zrobić nie mogła, i zarząd w swojej niewieściej, a może mniej sprężystej dłoni zatrzymywać musiała.

Ale dziw, że ją pan Dyonizy znienawidził serdecznie i nieraz sobie powtarzał:

— Przechorowałbym, gdyby się tej babie udało... jej oblig tylko na sto czterdzieści tysięcy, najmniej z Połówki mam dochodu i miałbym za to dopuścić, żeby ona została najbogatszą... A jednak... kuta na cztery nogi... przeszkadzać jej trudno, bardzo trudno... Gdyby nie mój talent, musiałbym dać za wygraną.

Zarządzając interesami Kropnickich pan Dyonizy okazywał się bardzo praktycznym i sumiennym. Niedorzeczne projekta panu Józefowi odradzał, nasuwał mu natomiast takie, które rzeczywistą korzyć przynosić mogły. Pamiętał przytem zawsze o sobie, ale Rumianki nie ponosiły zbyt wielkiej krzywdy i ulepszały się także, choć nieznacząco i powoli.

Myślałby kto może, że to jaki skrupuł sumienia nakazywał panu Dyonizemu być pożytecznym, a przynajmniej nieszkodliwym, chociaż dla jednego z klientów, lub, że jak w Połówce tak i w Rumiankach, pani domu, zachęcona testamentem stryjaszka, objęła ster rządów i stała się przeszkodą w wyzyskiwaniu łatwowiernego i niepraktycznego męża, przez zręcznego spekulanta.

Bynajmniej.

Pani Kropnicka, jak dawniej, kochająca męża i zupełnie mu podległa, pozwoliłaby mu się rujnować, byle tylko w tem znajdował

przyjemność, i pomimo wrodzonego rozsądku, dawałaby się z łatwością przekonywać o praktyczności najniepraktyczniejszych planów.

Że pan Dyonizy cokolwiek oszczędzał Rumianki, pochodziło to poprostu stąd, że mu już czasu nie starczyło na eksploatowanie ich na większą skalę. Pomimo wyjątkowej czynności, nie mógł on wszystkiemu podołać, czuł, że przynajmniej jednego ze swych klientów zostawić musi pod mniej baczną opieką, i wybrał Kropnickiego, był bowiem przekonanym, że gdyby najlepiej nawet wiodło się w Rumiankach, nigdy one w ciągu lat sześciu nie wyrosną tak, ażeby pierwszemi pomiędzy wszystkiemi działami rodzeństwa się stały.

XIV.

Najwięcej czasu Kąpalskiemu zajmował Stanisław, którego, jak to już wiemy, pan Dyonizy przeznaczał na głównego sukcesora stryjaszka, raz dla tego, że to mu się zdawało najłatwiejszem, a powtóre, że Stanisław więcej od Kropnickich, Plewiczów i Ludwikowstwa zapłacić mu się zobowiązał.

Pan Dyonizy często wyjeżdżać musiał z miasteczka w okolicę, szukając po obywatelstwie bogatych partyi dla swego protegowanego. Stanisław szczodrze płacił za te przejażdżki tytułem kosztów podróży i zwrotów różnych straconych korzyści, ale też za to był obsługiwanym przez swego protektora i plenipotenta tak gorliwie i szczerze, jak żaden z jego rodzeństwa. Zdawało się Kąpalskiemu, że nic nie będzie łatwiejszego nad te swaty, pokazało się przecież, że się zupełnie przerachował.

Kilka wycieczek przekonało go, że to sprawa niezmiernie trudna, jakkolwiek Stanisław z całą rezygnacyą gotów był się sprzedać, czyli, jak to nazywał: „poświęcić się woli stryja“, tego stryja, co pragnął, żeby dzieci jego brata i siostry doszły do majątku poczciwą pracą, a nie handlem tego rodzaju.

Kąpalski wiedział, że ze strony Stanisława nie będzie żadnego oporu, że trawiony gorączką przyjścia do pieniędzy bez pracy, gotów będzie połączyć się na całe życie z pierwszą osobą, jaką mu wskaże, obawiał się jednak tego, żeby się nie oszukać.

Stanisław rzeczywiście znajdował się w wyjątkowem położeniu. Jak powszechnie sądzono, miał zostać niezadługo bogatym, jako spadkobierca amerykańskiego stryjaszka, którego pomawiano o okropne skarby. Czy dostanie największy, czy choćby najmniejszy dział, bę-

dzie milionerem, tak sobie rozumowała opinia, tak wszyscy w okolicy mówili. Trafiało mu się zatem partyj wiele, był rozrywanym niemal, wszystko to jednak nie było dla pana Dyonizego dość pewne i dość bezpieczne.

Spekulacya uderzyć mogła o spekulacyę, jak kosa o kamień i ten co poszukiwał posagu właśnie dla tego, żeby za jego sprawą zyskać sobie prawo do większego udziału w schedzie, mógł trafić łatwo na posag pozorny.

Taki wypadek byłby naturalnie ruiną dla wszystkich planów Kąpalskiego. Największa scheda dostaćby się mogła nie temu, komu on ją przeznaczał, lecz Ludwikowstwu, Kropnickim, albo Plewiczom, na czemby stracił znacznie, albo też Urbanowi, na czemby stracił zupełnie.

To też Kąpalski okazywał w staraniach o posażną pannę dla swojego klienta tyle interesowności, tyle podejrzliwości, tyle niedowierzania, że w końcu zupełnie popsuł interesa Stanisława, czegoby się po człowieku tak zręcznym, jak pan Dyonizy, czytelnicy zapewne wcale nie byliby spodziewali.

Stało się to bardzo naturalnym sposobem.

Domy bogate, do których się udawano, były domami ludzi poczciwych, albo spekulantów gotowych wszystko poświęcić dla grosza. Otóż u ludzi poczciwych interesowność, podejrzliwość i niedowierzania Kąpalskiego były dostatecznym powodem, żeby zamknąć przed Stanisławem drzwi, a u spekulantów ta sama interesowność rodziła podejrzenie, że ów spodziewany spadek nie musi być ani tak wielkim, ani tak pewnym, jak wieść niosła, kiedy przyszły jego dziedzic o każdy tysiąc posagu z taką zaciętością się targuje.

Podejrzenie to psuło sprawę i Stanisław jeden po drugim zbierał grochowe wianki.

Martwił się tem pan Dyonizy niesłychanie, ale niepowodzenie Stanisława niebyło jednym jego zmartwień powodem.

Jak sobie przypominamy, drugą połową zadania, jakie sobie założył Kąpalski, było szkodzenie Urbanowi Gromskiemu.

Kąpalski liczył na to, że jak mu różnemi sposobami i sposobikami dokuczać zacznie, jak zamaskowawszy dobrze swój udział i intencję, raz, drugi i trzeci przyprawi go o jaką porządną szkodę, to dziedzic Wyrw opuści ręce i powie sobie, tak, jak to u nas jest zwyczajem mówić, gdy nas przeciwności obległą:

— Trudno przeciw prądowi płynąć!

Według obliczeń pana Dyonizego, podobne zwątpienie o swych siłach miało dokonać tego, czego on sam dokonać nie mógł, to jest do-

prowadzić Wyrwy do ruiny, albo przynajmniej nie pozwolić im się podnieść.

I w tem jednakże przerachował się Kąpalski.

Usiłowania jego rozbijały się jedne po drugich o silną wolę i wytrwałość Urbana. Najstarszy z sukcesorów stryjaszka nie był z tego rodzaju ludzi, że po niepowodzeniu opuszczają ręce. Przeciwności były dla niego tem, czem być powinny dla każdego energicznego człowieka, dla człowieka, którego warto nazywać człowiekiem, — tem, czem są ostrogi dla konia. Jeśli pracował, ażeby mu się wiodło, to pracował w dwójnasób, gdy mu się nieudawało. Poniósł szkodę, szukał zaraz sposobu, jakby ją powetować, jakby jej następstwa najmniej dotkliwemi uczynić. Wiedział, że pracuje w poczciwej myśli, i żadna przeciwność nie mogła w nim zachwiać wiary, że mu się w końcu wieść zacznie.

W tej wytrwałości było coś, co poniżało pana Dyonizego. W walce złej woli z dobrą, nie ta zwycięża zwykle, za którą słuszność przemawia, lecz ta, co pierwsza powie sobie: „nie dam rady“. Gdyby było inaczej, byłoby na świecie królestwo Boże, lecz że tak nie jest, więc trzeba o tej prawdzie pamiętać. Pan Dyonizy był przebiegły, zręczny, ale stygł, gdy powodzenia swoich planów nie widział. Spróbował szkodzić Urbanowi, raz, drugi, trzeci. Udało mu się. Ale po doznanym ubytku, po poniesionej stracie, Urban stawał do pracy jeszcze z większą energją, i zwykle prędko odbijał lub zaprawiał to co stracił, w czem szkodę poniósł, albo z samej tej szkody potrafił jeszcze wyciągnąć jakąś korzyść, jakiś pożytek, i tym sposobem jej skutek czynił małoznaczącym. Widząc taką energję, Kąpalski zwątpił, żeby jego złośliwa uporczywość jej dorównała i przemódz ją mogła.

— A to człowiek, — mówił do siebie, — jak opoka, jak kamień... takiej skały nie skruszę i nie poradzę tu podobno.

Jak tylko to sobie powiedział, jak tylko martwić się tem zaczął, już wszystkie kroki, jakie na niekorzyść Urbana przedsiębrał, rozpoczynał w myśli, że nie wiele mu niemi zrobi, nie obmyślał ich tak starannie, jak przedtem, i gdy potem przekonywał się, że albo Urban nie wpadł w jego zasadzkę, albo wpadłszy, wywikłał się z łatwością, albo nawet zamiast przewidywanej straty odniósł korzyść, wtedy mówił do siebie:

— A co?.. nie przewidywałem... już to tak zawsze... ma szczęście!... pchnij go w przepaść, to się nietylko nie zabije, lecz nawet nie potłucze i jeszcze na dnie skarb znajdzie. Na co się przydało z nim wojować?

Jak na zręcznego Kąpalsia, ktoby się mógł spodziewać takiej słabości, takiego upadku na duchu. W tem zjawisku jednakże nic

nadzwyczajnego nie ma. Człowiek, choćby był jak najbardziej zepsuty, choćby tak niewiele już sobie robił z sumienia, jak pan Dyonizy, instynktownie wierzyć musi w Opatrzność, i tej wiary w sobie żadnem, a żadnem rozumowaniem nie stłumi. Otóż poczciwy, kiedy mu się nie wiedzie, znajduje zawsze podnietę dla swej energii, w tem przekonaniu, że następnym jego usiłowaniom Pan Bóg pobłogosławi. Ale zły gdzie jej ma szukać?... Przy każdem nieudaniu się zamiaru, mimowolnie przychodzi mu na myśl owo nasze stare, a malownicze i poczciwe wyrażenie:

— Złe się rozbija o Bożą Mękę.

(d. c. n.)

ZŁOTE MYŚLI.

Praca i wstrzemięźliwość pokrzepiają zdrowie;
Bez tych rzeczy lud ginie, biednieją panowie.

❀

Nam sił, młodości, pogody trzeba...
Nam jasnych uczuć czystego nieba —
Nam myśli wielkich wśród życia burz...
Nam trzeba silnych, hartownych dusz!

❀

Myśli człowieka człowiek nie dociecze,
Lecz kluczem do nich czyny człowiecze.



ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana naszego Jezusa Chrystusa.

(Ciąg dalszy).

Dwie siostry w miasteczku Betanii, Marya i Marta, u których Jezus zażywał gościny razem z uczniami swymi, miały brata imieniem Łazarza. Ten brat zachorował śmiertelnie. Siostry posłały do Jezusa mówiąc: „Panie, oto którego miłujesz, choruje". Nie proszą by przyszedł, by w jakibądź sposób ratował brata, poprostu dają znać o swem strapieniu, nie wątpiąc zgoła, że Jezus uczyni, co dla nich i dla brata będzie najodpowiedniejsze. Ufność ich nie zostanie zawiedzioną, chociaż ciężka czeka je próba.

Posłaniec, przybywszy do Jezusa, który wciąż jeszcze przebywał w Perei za Jordanem, doniósł o groźnym stanie Łazarza. Jezus, usłyszawszy to, rzekł: „Choroba ta nie jest na śmierć, ale dla chwały Bożej, aby był Syn Boży uwielbion przez nią". Ta choroba sprowadzi śmierć, wszelako z woli „Ojca niebieskiego" ta śmierć będzie miała na celu „chwałę Bożą, by Syn Boży był przez nią uwielbion".

Cud, który się dokona w Betanii, będzie największym dowodem Boskości Cudotwórcy, posłannictwa „Syna Bożego". Wobec tego postanowienia Ojca Jezus nie potrzebuje śpieszyć się z przyjściem, by Łazarza zastać jeszcze przy życiu. Przez dwa dni jeszcze pozostał Jezus za Jordanem. Następnie mówi uczniom, żeby szli za Nim do Judei do ziemi Żydowskiej. Uczniowie wiedzą, że tam Faryzeusze czyhają na życie Jezusa, nie mogą się wstrzymać od uwagi: „Rabbi, teraz chcieli Cię

Żydowie ukamienować a zasię tam idziesz“? Jezus odpowiada, że „czas Jego jeszcze nie przyszedł“. Po niejakiej chwili mówił znów do nich: „Łazarz, przyjaciel nas, śpi, ale idę, abym go ze snu obudził“.

Apostołowie nie rozumieją tych słów, mimo, że już raz tak samo mówił Jezus, gdy miał wskrzesić córkę Jaira; im się zdaje, że to mowa o zwyczajnym śnie, dla tego mówią: „Panie, jeśli śpi, będzie zdrów“. Tedy bez ogródki już powiedział im: „Łazarz umarł“. A gdy uczniowie zatrwożyli się na te słowa, Jezus dodaje: „Rad jestem dla Was iżem tam nie był, abyście wierzyli“. Gdyby był w Betanii, to nie byłoby tej mowy o śmierci Łazarza, jako o czemś nadzwyczajnem. „Ale idźmy“ rzekł Jezus, dając tem do myślenia, że i po śmierci Łazarza chce go ratować. Jezus przybył do Betanii. Łazarz już od czterech dni był w grobie, bo umarł tego jeszcze dnia, gdy siostry wyprawiły posłańca, i według zwyczaju żydowskiego tego samego dnia był złożony do grobu. Betania była blizko Jeruzalem, więc wielu Żydów z Jeruzalem przyszło do Maryi i Marty, aby je pocieszać po stracie brata.

Jezus przybywa nie w gościnę, lecz jedynie dla okazania chwały Bożej i dla tego zatrzymuje się przy grobie Łazarza, za miastem. Pierwsza Marta dowiaduje się o tem, śpiesznie wybiega naprzeciwko i wynurza głęboką swą żałość w tych słowach: „Panie, gdybyś tu był, nie umarłby był brat mój. Lecz i teraz wiem, że o cokolwiek będziesz Boga prosił, dać Bóg“. W tych słowach widać nadzieję, że i teraz Jezus nie odmówi swej pomocy, o ile zechce. Rzekł jej Jezus: „Zmartwychwstanie brat twój“. Marta rozumie te słowa w ogólnem znaczeniu, to jest, że Łazarz zmartwychwstanie w dzień ostatecznego sądu. To wyznanie nie wystarcza, Jezus chce, aby wiara jej wzniosła się wyżej, więc przemawia: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot; kto w Mię wierzy, choćby umarł, żyw będzie. A wszelki, który żyje, a wierzy we Mnie, nie umrze na wieki“. „Wierzysz temu“? — pyta Jezus zdziwionej i wzruszonej Marty? Marta nie cofa się przed tą rzeczą niepojętą i mówi: „Iście, Panie, jam uwierzyła żeś Ty jest Chrystus, Syn Boga, któryś na ten świat przyszedł“.

Teraz każe Jezus przywołać drugą siostrę Maryę. Marta wraca do domu i nieznacznie daje jej znać, że „Nauczyciel przyszedł i woła cię“. Marya pobiegła co tchu, a z nią i Żydzi przybyli z Jeruzalem. Ale co się działo w sercach tych Żydów, gdy niespodzianie stanęli oko w oko z Jezusem! Marya przypadła do nóg Jezusowych i rzekła: „Panie, gdybyś tu był, nie umarłby był brat mój!“.

Trudno zaiste wyobrazić sobie, co się działo w tej chwili w sercu Mesyasza. Z jaką że świętą powagą i miłością, i żarliwością o chwałę Ojca i własną chwałę przystąpi Jezus do tego dzieła!

Wreszcie pyta się Jezus Marty i Maryi: „Gdzieście go położyli“? Siostry odpowiadają: „Panie, pójdź a oglądaj“. Idą naprzód, prowadzą Jezusa do grobu. Wszystkich ogarnia dziwne uczucie trwogi i nadziei. Jezus Sam się rozrzewnia — „zapłakał“. Na widok płaczącego Jezusa wzruszenie ogarnia i Żydów, którzy mówią do siebie: „Oto jak go miłował“. Ale między Żydami są i tacy, którzy nie umieją ukryć swēj złośliwości, swego gorszenia się: „Nie mógł Ten“ — mówią szyderczo — „Który otworzył oczy ślepo narodzonego, uczynić, żeby ten nie umarł“? Wiedzą o cudach Jezusa, nie zaprzeczają ich prawdziwości, a jednak nie chcą wierzyć, coraz więcej zacinają się w nienawiści.

Wobec takiej mowy Żydów i zatwardziałości ich, Jezus „rozrzewnia się“ znowu, wzruszony, rozrzewniony, a zarazem oburzony świętym gniewem, każe odjąć kamień z grobu Łazarza. Marta, przypuszczając, że Jezus chce po raz ostatni oglądać umarłego brata, (nie spodziewała się wskrzeszenia), a bojąc się, żeby się nie przydało co nieprzyjemnego ukochanemu Mistrzowi, w prostocie serca przestrzega Go: „Panie, już cuchnie, bo mu już czwarty dzień“. Wiara Marty jakoś osłabła, więc Jezus gani jej to mówiąc: „Zażem Ci nie rzekł, iż jeśli uwierzysz, oglądasz chwałę Bożą“? Tymczasem odwalono kamień. Wszyscy obecni i siostry Łazarza przybliżają się do grobu w milczeniu i z naprężoną uwagą spoglądają to na grób, to na Jezusa. Jezus wznosi oczy w górę i mówi: „Ojcze, dziękuję Tobie, żeś Mię wysłuchał“. „A jamci wiedział, że Mnie zawzdy wysłuchiwasz, alem rzekł dla ludu, który około stoi, aby wierzyli, żeś Ty mnie posłał“. Po tej modlitwie dziękczynnej Jezus zawołał głosem wielkim: „Łazarzu, wynijdź z grobu“. Tym „głosem wielkim“ daje wyraz głębokiemu Swemu wzruszeniu, świadomości Swej mocy, posłannictwa Swego. Możemy sobie łatwo wystawić, jak ten głos taki potężny, taki uroczysty, przejmuje lękiem całe otoczenie. I na głos Tego, który powiedział: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot“ wstaje umarły, mając ręce i nogi związane chustkami i twarz obwiązaną chustką, tak, jak był pochowan; wstaje Łazarz, ukazuje się u wnijścia grobu i tu Jezus każe go rozwiązać i puścić, aby szedł.

Łazarz wskrzeszony! Któż potrafi wyrazić, jakie ten cud wywarł wrażenie na siostrach Łazarza, na Apostołach, na Żydach? „Wiele z Żydów uwierzyło“ w Jezusa, w Mesyasza.

Ale czy ta wiara zapuściła głęboko korzenie, to się niebawem pokaże.

(d. c. n.).

ŁOWIEC NA POSAGI.

Opowieść z niedawnej przeszłości.

(Dokończenie).

Równocześnie pan Adolf wyjednał, że ślub odbędzie się po Trzech Królach; kilka tygodni już tylko dzieliło go od chwili tak upragnionego szczęścia. Kończył przygotowania swej wyprawy, a tymczasem spraszał grono najbliższych przyjaciół i krewnych do Lipówki, gdzie się bawił wesoło i ochoczo, częstując chojnie, przy zielonych stolikach. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, dzień ślubu coraz był bliższy.

Na parę dni przez Wigilią, którą miał przepędzić w Krowodrzy u przyszłego teścia, liczniejsze, niż zwykle, zebrało się grono przyjaciół pana Adolfa. Grano zacięcie w *sztosa* i *djabełka,* butelki szampana strzelały raz po raz. Gospodarz był hojniejszy, zachęcał do gry i kielichów. Liczne wiwaty, zdrowie pana Adolfa, ślicznej Karolki i przyszłej pomyślności, wznoszono z okrzykami, gdy nad wieczorem zadzwoniły sanki przed dworem Lipówki.

— Kto tam przyjechał? — pyta gospodarz lokaja.

— To pan Nekanda z Zacisza i prosi pana, bo ma pilny interes — odrzekł służący.

Proś do salonu! — zawołał pan Adolf, ale jakoś się zmieszał i dziwny go opanował niepokój.

Kiedy wbiegł do sali, ujrzał stojącego Nekandę, który wyraziste swoje spojrzenie, pełne powagi a surowe, utopił w jego obliczu. Pan Adolf nie mógł znieść go, spuścił oczy, a kłaniając się, przemówił uprzejmym głosem:

— Niech sąsiad łaskawy raczy usiąść i przyjąć moje pozdrowienie. Cóż pana sprowadza w moje ubogie progi?

— Panie Kawęcki, — odrzekł surowo Jan, — wiesz, jak nikczemnie i podle postąpiłeś sobie z córką pułkownika!

— Panie! co znaczą te słowa zniewagi i jeszcze w moim domu?

— Niema w nich żadnej zniewagi, — mówił spokojnie Nekanda, — postępowanie pana je wywołało. Ale nie traćmy czasu daremnie.

W imieniu Władysława Ligenzy żądam satysfakcyi, wybieraj pan broń, czas i miejsce. Jestem z jego strony sekundantem.

— Cóż to? ja mam się bić z tym dzieciuszkiem, panienką w sukniach męskich? — odrzekł pan Adolf szydersko.

— Nie przybyłem rozprawiać z panem, ale proszę o odpowiedź stanowczą. To tylko panu zapowiadam, że jeżeli ta panienka padnie, ja i sześciu moich towarzyszy broni, stawać będzie z panem do rozprawy. Że zdrowo nie wyjdziesz z tej igraszki, za to ci mój panie honorem ręczę.

Kawęcki zbladł, ale oprzytomniawszy, zdobył się na odpowiedź.

— Im prędzej, tem lepiej, broń — pistolety, czas — wigilja Nowego Roku, a miejsce do wyboru zostawiam panom.

— Dziękuję panu za tak prędkie postanowienie; wybieram więc miejsce w moim dębowym lesie Zacisza, o godzinie dziesiątej rano będziemy go oczekiwali z sekundantami.

— Stawię się niezawodnie!

Nekanda skłonił głowę, wdział niedźwiedzie, dosiadł sanek i ruszył po dobrej sannie galopem. Pan Adolf wrócił do swoich gości.

— A cóż chciał od ciebie ten odludek? — zapytał jeden.

— Ten niedźwiedź z zagrody swojej, — dodał drugi.

— Przybył, — odrzekł spokojnie gospodarz, — za kupnem nasienia jarego na siew wiosenny, a ma gotowiznę, bo mu mój teść przyszły za pszenicę tysiąc dukatów niedawno zaliczył.

— Gospodarz to dobry, — mówił młody Bieniecki, sąsiad blizki Zacisza, — on ze swego wójtostwa więcej zbiera, niż drugi z 50 włók ziemi. Co tam za uprawa, jakie liczne inwentarze. — I gdy dalej rozwodził się nad doskonałością gospodarstwa Nekandy, Adolf wziął pod rękę pana rotmistrza od pruskich huzarów, co od trzech lat miał dymisyę, wybornego gracza i wesołego do pohulanek towarzysza, Zdzisława Kweleckiego z Księstwa Poznańskiego i przeszedłszy do salonu, opowiedział mu prawdziwy powód odwiedzin Nekandy, ze szczegółami całej rozmowy.

— Pochwalam z góry twoje postanowienie i z chęcią służę za sekundanta. Ale zachowajmy wszystko w głębokiej tajemnicy; wypadek ten i tak będzie później rozgłośny. Jutro jedziesz do narzeczonej, baw-że się wesoło, nie trać humoru. Wiem, że strzelasz *arte*, ale abyś do celu trafił niechybnie, potrzeba spokoju duszy. Ja się wszystkiem zajmę, doktora na wszelki przypadek zamówię, zresztą sza! jakby nic nie było.

Adolf rzucił się rozczulony w objęcia rotmistrza, dziękując mu za takie dowody przyjaźni.

Nekanda spiesznie podjechał pod dwór w Zagaju, ale dla ukrycia swych odwiedzin zostawił sanki w alei bocznej, a sam udał się do kwatery Jacentego, gdzie zastał Władysława, wydmuchującego pistolety po dwóch celnych strzałach, nad którymi dziwiąc się, kręcił głową stary kapral.

— Jeżeli paniczowi nie zadrży ręka, to tego łajdaka sprzątniesz jak wróbla, ażeby nie kalał ziemi.

Na widok wchodzącego Nekandy, poskoczył ku niemu Władysław i uścisnął po przyjacielsku dłoń podaną.

Wszystko poszło wedle naszego planu, teraz zajmiemy się przygotowaniem do tej smutnej, chociaż koniecznej sprawy.

Usiadłszy zmęczony nieco opowiedział szczegółowo rozmowę swoją z Kawęckim.

— Dzięki Bogu! — mówił Władysław — i tobie, zacny przyjacielu! Czemże ci się potrafię odwdzięczyć?

W tej chwili roztwarły się drzwi i ukazała się na progu Klara; ujrzawszy Nekandę, stanęła cała w rumieńcach. Po chwili milczenia wyrzekła:

— Słyszałam wystrzały i ciekawa byłam, jak też celnie mierzy mój kochany braciszek. Niespodziewałam się spotkać pana i bardzo się cieszę, żem zobaczyła tak szlachetnego przyjaciela naszego domu i nas sierot.

To mówiąc, wyciągnęła doń ręce, które Nekanda pochwycił, a okrywając pocałunkiem:

— O, droga moja pani! — zawołał dźwięcznym głosem, — ostatnią kroplę krwi poświęciłbym za szczęście pani i jej spokój.

Klara opuściła smutnie głowę na piersi i wyrzekła:

— Dziękuję, dziękuję serdecznie za te słowa, wierzę im, bo pan nigdy w życiu nie skłamałeś!

I wyrzekłszy to ukłoniła się i wyszła.

Nadszedł dzień oznaczony do krwawego spotkania. Pani majorowa wiedząc o wszystkiem, pod pozorem powinszowania Nowego-Roku zięciowi i wnukom, raniutko zjechała do Zagaja. Władysław pożegnał się z ojcem zaraz po jej przybyciu, oświadczając mu, że zaproszony przez Nekandę na polowanie, wcześnie przed wieczorem wróci. Na samym wsiadaniu do sanek, wbiegł do babki. W dużym fotelu siedziała sędziwa matrona, a u nóg jej klęczała Klara: obie były zapłakane. Na widok młodzieńca, otarły oczy, a gdy wnuk przykląkł i ucałował ręce babki, drżące od wzruszenia, rzekła:

— Niech cię Bóg i Matka Boska ma w swojej opiece, ja ci daję

moje błogosławieństwo, a razem z Klarcią będziemy się modliły za ciebie.

W tej chwili wszedł stary kapral, dając znać, że czas w drogę.

— Jacusiu, — mówiła do niego z płaczem, — czuwaj nad moim wnuczkiem.

Klara uściskała brata; stary kapral słowa nie odrzekł, obaj w milczeniu wsiedli na sanki.

— Moje dziecię! idź teraz do ojca, baw go rozmową, ja tam zaraz przyjdę. Niech się dopiero dowie o wszystkiem, gdy Bóg tę smutną sprawę rozstrzygnie.

W pół godziny po przybyciu do Zacisza Władysława z Jacentym, nadjechał Kawęcki z rotmistrzem i razem ruszono do lasu. Towarzyszyli tej rozprawie doktór z chirurgiem i stary kapral.

Nekanda z rotmistrzem umówili się jako sekundanci, że po wymierzeniu mety, na komendę razem strzelać będą.

Godzina naznaczona uderzyła. Obaj przeciwnicy stanęli na miejscu i na dane hasło huknęły wystrzały. Z jękiem upadł Kawęcki, młody Ligenza się zachwiał, ale Nekanda podtrzymał go silnym ramieniem.

— Czyś ranny, Władziu? — zapytał go z cicha.

— Nie! — odrzekł młodzieniec, ale widok krwi rozlanej zamroczył mi oczy. Czym go zabił?

Rotmistrz, doktór z chirurgiem trzeźwili i opatrywali Kawęckiego. Kula poniżej kolan przeszyła obie nogi, krew strumieniem buchała.

Stary kapral kilkoma słowami przywrócił przytomność paniczowi, gdy Nekanda, kazał sankom swoim podjechać, ażeby rannego co rychlej odwieźć do Zacisza. W tej chwili z poblizkiej zarośli zatętniały kopyta końskie i Nekanda ujrzał, przemykającą konno, Klarę, która ścieżką leśną pędziła galopem do Zagaja.

W oddzielnym pokoiku dworku Zacisza złożono rannego. Posłańcy rozbiegli się w różne strony, to po lekarstwa, to z wiadomością do majorowej i Lipówki. Doktór oświadczył, że rany długiego leczenia potrzebować będą i wątpi czy na całe życie kuleć nie będzie.

Babka z ojcem siedzieli razem, oboje smutni i milczący. Pułkownik skarżył się na dziwny niepokój, co go od samego rana trapi, gdy weszła Klara z bladem obliczem i mocno wzruszona, majorowa zerwała się z krzesła, a patrząc uważnie na wnukę, zapytała drżącym głosem:

— No! i cóż nowego?

— Władzio zaraz powróci z Jacentym, zdrów.... i jakby zmęczona upadła na kanapkę, stojącą przy kominie.

Gdy pułkownik zdziwione oczy zwracał na majorową i Klarę, pierwsza wyrzekła:

— Nie masz już tajemnicy przed ojcem, powiedz Klarciu, jak się skończył pojedynek.

— Strzelali się na komendę i padł, kulą przeszyty, Kawęcki. Patrzałam na to spotkanie i ledwiem utrzymała się na siodle.

Wtedy majorowa opowiedziała całą sprawę zięciowi, który chodził szerokim krokiem po sypialni i od czasu do czasu przerywał.

— I ja byłem jak w rogu! Wszyscy mnie oszukiwali... nawet stary kapral! Ale dam ja mu za to! Mnie to tę sprawę samemu należało prowadzić, a nie oddawać w cudze ręce...

— Mój Stasiu, — odrzekła na te słowa babka, — uczciwe ręce tę sprawę prowadziły, bo ręce Jana Nekandy.

— Ani słowa, moja matko, jest to zacny i pełen honoru człowiek, którego teraz tem więcej kocham, lubom go zawsze szanował. Ale ja, czyż nie jestem ojcem? Coby na to mój anioł-opiekun, moja Zosia powiedziała? Czyżby mi nie zrobiła słusznego wyrzutu i pytania: a cóż ty za ojciec, jeżeli za honor swojej córki ująć się nie umiesz?

— Panie Stanisławie! szanuj miłość dzieci i moją, żeśmy cię martwić nie chcieli. Ja w imieniu mojej Zosi, a twojej małżonki, działałam, i Bóg pobłogosławił całej sprawie. Stasiu! — mówiła rzewnym głosem, czyż w tem nie widzisz opieki Bożej i modlitwy gorącej naszej Zosi, że ubłagała życie twego jedynaka.

Na te słowa zmiękł gniew i uniesienie pułkownika, całując rękę majorowej, przepraszał i tulił do łona rozpłakaną córkę.

W tę chwilę stanął we drzwiach, cicho na palcach idąc, stary kapral, którego ujrzawszy pułkownik zawołał:

— A chodź no, łotrze, do mnie. Wartoby cię do kozy na tydzień o chlebie i wodzie wpakować i byłoby to, gdyby nie pani majorowa, co cię ochroniła. No, gadaj stary, a prawdę, jak to było?

Jacenty opowiedział szczegóły wszystkie.

— A gdzież mój Władyś?

— Panicz został przy rannym, bo o to błagał go sam, gdy przyszedł do przytomności. Ale zapewnie nie długo zawita stary nasz kapitan, ściska a całuje naszego panicza i płacze, mówiąc:

— Znać, że to krew dzielnego mego pułkownika! On się ucieszy, żeś odważny i celnie strzelasz i będzie płakał, jak ja, z radości.

Pułkownik odwrócił głowę, aby łzy ukryć, poczem zwróciwszy się nagle, pochwycił starego kaprala, a całując go w głowę, zawołał niby groźnie:

— Idź precz mi! ale mnie kochaj zawsze!

Jacenty z prawą ręką u skroni, salutując wymaszerował podwójnym krokiem, do swojej kwatery.

Władysław nadjechał dopiero wieczorem z Zacisza. Ojciec uścisnął go serdecznie równie, jak siostra, babka pieściła i błogosławiła. Dzień to był rzewnej radości dla całej rodziny.

Po dwóch dniach spoczynku, przewieziono krytemi saniami rannego Kawęckiego do Lipówki. Dwór w Zaciszy po krótkim gwarze, wrócił do dawnej, a zwykłej spokojności. Dzień Nowego Roku odbył się uroczyściej, niż zwykle; zjechało bowiem liczne grono przyjaciół pułkownika i majorowej, składając szczere życzenia. Złożył je również listownie Nekanda w imieniu ojca i swojem, ale tego dnia nie pokazał się w Zagaju, mając wymówkę, że przy rannym czuwać musi.

Przy obiedzie, powstał pułkownik, wzniósł kielich i wyrzekł spokojnym i poważnym głosem:



Klara.

— Pozwolicie, szanowni moi goście, że wzniosę zdrowie jednego z tych ludzi, którzy na cześć naszą i szacunek zasługują. Żałuję, że nie jest obecny, nie usłyszy gorących słów podziękowania. Oby Bóg czuwał nad jego szczęściem, tego mu z serca życzę. Piję zdrowie szlachetnego mego przyjaciela i sąsiada Jana Nekandy!

Wszyscy ochoczo zdrowie to powtórzyli.

W dzień Trzech Króli, po nabożeństwie, pułkownik, po krótkiej z majorową naradzie, rozkazał dwoje sanek zaprządz, oświadczając, że wyjadą na szlichtadę. Ale stary kapral, od Klary dowiedziawszy się o celu przejażdżki, boczną drożyną konno pośpieszył do Zacisza, uprzedzając pana kapitana, że go kulig najedzie!

Pan Jan na tę wiadomość stanął pomieszany, nie wiedząc, co począć; ojciec, widząc jego zakłopotanie, rzekł, śmiejąc się wesoło:

— No, Jasiu! nie trać głowy! czem chata bogata, tem rada! Dalej do roboty. Jacuś! daj mi moją bekieskę od święta ze wstążeczką Legii Honorowej i waszeć się przystrój, bo niema czasu!

Pan Jan orzeźwiał na te słowa, gdy Jacenty wbiegł, wołając:

— Już jadą, już jadą!

Kapitan z synem czekali na dostojnych gości.

W pierwszych saniach siedziała majorowa z wnuczką, w drugich pułkownik z synem.

Kapitan podał rękę sędziwej matronie i wprowadził do małej sali z głębokim pokłonem. Pan Jan, po powitaniu pięknej wnuczki, dziękował pułkownikowi za ten zaszczyt niespodziewany, że raczyli odwiedzić skromny dworek Zacisza.

Klara uderzona była porządkiem i miłym przystrojem tego dworku. Sionka wysypana gałązkami zielonemi z sosen i jodeł. Salonik pełen był pięknych kwiatów, które wonią go napełniały. W małym pokoiku, gdzie pracował zwykle pan Jan, nie brakło kwiatów i przy oknie wisiała klatka z kanarkami. W izbie gościnnej, obszerniejszej nad inne, na kapiastym kominie suty palił się ogień; tu pułkownik zasiadł rad i wesół ze starym kapitanem. Klara, stojąc przy klatce kanarków, bawiła się z niemi; na jej głos słodki, zbliżały się, otwierały dziobki i trzepotały skrzydełkami.

— O! widać, że wasz dobry pan, tak was, lubki moje, rozpieścił— mówiła, jakby do siebie. Ale stojący przy niej Nekanda, odrzekł rzewnym i smutnym głosem:

— Pan ich samotnik, kocha je i pieści, bo to jedyne stworzenia, które go kochają!

— O! nie grzesz, panie Janie, — przemówiła Klara, — a ojciec pana, a mój, a babcia, a Władzio, a stary kapral i ja, — dodała ciszej, — czyż nie kochamy pana i nie szanujemy?

Nekanda na te słowa podniósł głowę, oblicze jego rozpromieniało nieznanym wyrazem radości, oczy zajaśniały ogniem lat młodych, cała postać w nim zmieniona; patrzyła Klara nań z podziwem i pomyślała sobie, jak niedawno jej babka: to prawdziwie piękny mężczyzna, urodniejszy od Adolfa. Podała mu rękę, którą on w milczeniu przycisnął do serca.

Kapitan odżył, odmłodniał, jak mówił. Szczera radość odbijała się na czerstwem obliczu starca.

— Mój Boże! mój Boże! szkoda, że nie żyje moja Anulka, jakby się radowała, widząc takich gości.

— Mój panie Franciszku, — odrzekł smutno pułkownik, — obaj jesteśmy wdowcami i straciliśmy nasze pociechy duchowe, ale odżyjemy w naszych dzieciach.

— Ja to bardzo wątpię, — mówił stary kapitan, — mój Jaś przeszedł już dawno Jezusowe latka, czwarty zaczął krzyżyk, a bohdanki

swojej nie znalazł i ciągle mi mówi, że się nie ożeni. Żyjemy, jak dwa borsuki w norze, choć jest, mój pułkowniku, dostatek wszystkiego i grosz niemały w skrzyni, coby wystarczył i na żonę i na dzieci! Bo mój Jaś to tęgi gospodarz, szczerze mówię pułkownikowi, on potroił, ba! i więcej, dochód, jaki miałem z Zacisza, sam prowadząc ten folwark.

—Nie martw się, mój panie Franciszku, ja myślę, że będziesz kołysał swoje wnuki i śpiewał nad ich kolebką nasze żołnierskie piosnki.

Stary kapitan zaczął się śmiać wesoło, gdy Jacenty, który w tym dniu przybrał w Zaciszu godność marszałka dworu, zaprosił do stołu.

— Wszędzie to stare kapralisko włóczy się ciągle, — mówił pułkownik, klepiąc z uśmiechem po ramieniu Jacentego — gdzie go nie zasiejesz, to wschodzi, a kręci się, jakby jaki młokos!

Obiad był suty i smaczny, znalazł się i miód stary i węgrzyn stuletni. Pułkownik wzniósł toast dla kapitana i jego syna, którego uważa za szczerego przyjaciela, a przyjaźń taką ma dla siebie za najwyższy zaszczyt.

Kiedy kapitan dziękował serdecznie pułkownikowi, a pan Jan, zarumieniony wzruszeniem, powstał z pochyloną głową, pani majorowa wyrzekła:

— Taka cześć należy i ojcu i synowi. Ja, kobieta, znam serca niewieście i przekonana jestem, że zacna niewiasta może kochać prawdziwie tylko szlachetnego mężczyznę. Dla nikczemnego i podłego ma tylko pogardę w sercu.

Na te słowa, pan Jan zwrócił się do wnuczki i zapytał zcicha:

— Czy pani dzieli przekonanie pani majorowej?

— Tak! babka moja powiedziała świętą prawdę i to jest także mojem przekonaniem.

Wtedy ujął jej rękę drżącą, a przyciskając do ust, wyrzekł:

— To dzień najszczęśliwszy w mojem życiu!

Nad wieczorem pułkownik kazał zaprzęgać do sanek, ale kapitan oświadczył, że koła zdjąć każe i nie puści bez kolacyi. Pani majorowa śmiała się serdecznie z tego zapomnienia starego gospodarza, zwracając jego uwagę, że sanki kół nie mają, ale naglona prośbą jego, z chęcią pozostała.

Kapitan zajął się przyrządzeniem pałaszowego ponczyku z wina, araku i cukru, którym poczęstował ukochanych gości. O północy dopiero opuszczono gościnne progi miłego dworku w Zaciszu.

Noc była jasna, księżyc w pełni wybił na bezchmurny błękit, lekki mróz poprawił sannę.

Pan Jan dosiadł karego arabczyka i odprowadził damy aż pod

ganek dworu w Zagaju. Wysadził z sanek, pożegnał, a dosiadłszy wierzchowca, pomknął, jak wiatr, drogą ubitą.

— Jaki to piękny mężczyzna! i jaki jeździec, — wyrzekła majorowa jakby do siebie. Klara z ganku długo ścigała oczyma po widnej drodze, jak pędził na karym uprzejmy gospodarz Zacisza.

Kawęcki, leżąc we dworku Nekandy, prosił syna pułkownika, aby mu przebaczył i przeprosił w jego imieniu siostrę za jego płochość. Wywieziony do Lipówki, prędko wracał do zdrowia, ale przepowiednia doktora sprawdziła się. Wyleczony z rany prawej nogi, w lewej nigdy dawnej władzy nie odzyskał i kulał przez całe życie. Wydobrzał jednak przy czułem staraniu matki, siostr i ciotki tak rychło, że z końcem zapust wziął ślub z panną Königsman i odprawił huczne wesele. Ojciec panny młodej w parę dni wyjechał do Berlina, oddając mu w zarząd całe dobra, jako posag jego ukochanej Karolinki.



Nekanda.

Z początkiem lata gwałtownie zasłabła majorowa, zanim dano znać o tem do Zagaja, wysłała sama posłańca do Zacisza, wzywając Nekandę. W godzinę, stał przy jej łożu zmęczony i rozgrzany podróżą, pędził bowiem, co sił starczyło arabczykowi.

Chora wdzięcznie się uśmiechnęła i uścisnęła rękę pana Jana serdecznie.

— Nie wiem, czy to nie ostatnia moja choroba, — mówiła cichym i osłabłym głosem. Czuję coraz większy brak sił, a ciągła senność mnie napada. Co mi ciąży na duszy, to chciałam ci powierzyć, kochany panie Janie, ty jeden ulgę mi przynieść możesz!

— Mów, droga pani! Wszystko zrobię, co tylko może spokój ci przywrócić i ulżyć strapieniu.

— Wiesz dobrze, żem ja tego nikczemnika wprowadziła w rodzinę własną, moje pochwały, które oślepiona mu dawałam, zwróciły na

niego uwagę mej wnuczki. Teraz, kiedy może wkrótce stanę przed sądem Boga i połączę się z moją Zosią, pragną umierać, zapewniając los przyszły i szczęście Klary. A rękojmię tego ty jeden, kochany panie Janie, dać mi możesz. Oddaję ci więc w opiekę moją Klarcię i błogosławię.

Nekanda upadł przy łożu na kolana i rozpalone czoło przyłożył do zimnej, jak lód, ręki chorej, która czule nań patrząc omdlałemi oczyma, szeptała coraz cichszym głosem:

— Poślubisz moją Klarcię, ona będzie szczęśliwa z tobą i ciebie uszczęśliwi!

Nekanda czuł łzy radości w oczach, serce biło gwałtownie i tłumiło mu oddech. Słowa wyrzec nie mógł, a gdy powstał i spojrzał na oblicze chorej, krzyknął przerażony, bo zdawało mu się, że już umarła. Ale wkrótce oprzytomniawszy, poznał, że to był sen tylko, bo niedługo rumieniec słaby wybił na lica, a uśmiech okrasił sine dotąd usta.

Usiadł przy łożu i w tak głęboką zapadł zadumę, że nie słyszał lekkiego chodu Klary, jak weszła do sypialni babki, a stanąwszy na uboczu, wpatrywała się na przemiany w oblicze babki, ożywiające się coraz i zamyśloną postać Nekandy.

Gdy Jan po chwili podniósł oczy i spostrzegł Klarę, uważał ją raczej jako widmo swej wyobraźni. Utopił wzrok w jej uroczą postać i pierwszy raz spotkały się ich spojrzenia tak wymownie, że słowa byłyby ich niedokładnem echem. Klara pierwsza spuściła ku ziemi czarne swe oczy pełne blasku i uroku, posunęła się naprzód i podała mu rękę. Wtedy porwał się Nekanda, pochwycił ją, a przyciskając do serca, chciał mówić, lecz mu słowa pod nawałem uczuć niknęły. Chora rozbudzona, spojrzała, a ujrzawszy ich razem, z uśmiechem rzewnym a pełnym radości, przemówiła dźwięcznym głosem:

— Więc Bóg ziścił moje życzenia i widzenie senne! Niech was, moje dzieci, Bóg błogosławi w dalszem waszem życiu!

Klara, jakby ocucona, poskoczyła do babki, a okrywając ją pocałunkami i pieszczotą:

— Babciu moja złota! żyj zdrowa dla naszego szczęścia! — zawołała radośnie.

— Twoją przyszłą dolę powierzyłam w ręce tego zacnego człowieka! Wszak moja Klarciu nie odrzucisz jego ręki...

— O, nie, moja babciu! ale nie mówmy teraz o tem, później, później trochę.

Pułkownik z synem nadeszli właśnie, pani majorowa, powitawszy ich uprzejmie, mówiła:

— Teraz, czuję się zdrowszą, gdy widzę was wszystkich, bo i pana Jana uważam za należącego do naszej rodziny. Nie opuszczajcie mnie, biednej chorej: przy was odżyję na nowo.

Od tej chwili, coraz więcej wracały jej siły, dawny rumieniec przykraszał zżółkłe i blade oblicze, bielejące i nabierające czerstwości. Nekanda tylko wieczorem mógł się z Dąbrowy oddalać, ale wracał zaraz tak rano, ażeby razem w komnacie majorowej już był na śniadaniu.

Po paru dniach, wcześniej, niż zwykle, przybył do Zacisza. Zastał na ganku siedzącego ojca, który palił fajkę, rozmawiając ze starym kapralem, co sam teraz gospodarował w Zagaju i częściej odwiedzał pana kapitana, którego powiadamiał o zdrowiu majorowej.

Nekanda uściskał Jacentego, pocałował w ramię ojca i wszedł do dworku. Stary kapral wrócił powolnym krokiem do Zagaja, a kapitan rzekł do syna, patrząc, że siedzi w swoim pokoju zadumany.

— Cóż tam słychać, mój Jasiu, pani majorowa lepiej, czy zdrowsza?

— Już zupełnie odzyskała dawne siły i zdrowie wraca powoli, ale ja mam zlecenie od niej do was, mój ojcze.

— Cóż takiego, mój Jasiu? — pyta zdziwiony kapitan.

— Ona pragnie, ażebym się ożenił z panną Klarą!

Co! Co! — krzyknął stary. — Z panną pułkownikówną! To za wysokie progi na waszeci nogi. I to ci zleciła sama pani majorowa?

— Tak jest, mój ojcze, — odrzekł z rozpromienionem obliczem,— trzeba spełnić jej wolę, bo nie dostanę grochowego wieńca, ani arbuza!

Kapitan wyjął z ust fajkę, patrzył zdziwiony na syna, jakby chciał usłyszeć, czy to żart tylko, ale gdy wyczytał z jego oblicza pewność i potwierdzenie słów wyrzeczonych...

— Do stu milionów rejmentów, batalionów dyabłów, — zawołał grzmiącym głosem, — to, panie Janie, nie przelewki. Może chcesz, żebym ciebie oświadczył?

— Tak, mój ojcze! W tę sobotę, to jest pojutrze, pojedziemy do Dąbrowy razem i tam oświadczysz syna, swego jedynaka, prosząc o rękę panny Klary.

Wyrzekł to poważnie Nekanda, stojąc z uszanowaniem przed ojcem.

— Ha! ha! — zawołał starzec, na wpół płacząc, ze śmiechem, z wielkiego wzruszenia; kiedy trzeba, to trzeba. I któż się spodziewał, że taki anioł pocieszy moje ostatnie dni nad grobem i mego Jasia uszczęśliwi?

Otarłszy z łez oczy, mówił dalej:

— To wyraźne błogosławieństwo boskie; snać uprosiła to twoja matka, mój Jasiu, moja Anulka, dla ciebie i dla mnie!

Nekanda na wspomnienie matki westchnął boleśnie i padłszy na kolana przed jej olejnym portretem, wiszącym na ścianie, złożył ręce, jakby do modlitwy. Stary kapitan spojrzał, zapłakał i śpiesznie poszedł do gościnnego pokoju. Tu chodził długo zamyślony, aż zmęczony, usiadłszy, zaczął podług swego zwyczaju rozmawiać z sobą.

— Więc tedy, niedaremna była pani majorowej przepowiednia: mój Janek się ożeni i ja nucić będę przy kołysce nasze dawne piosnki, jak mówił pułkownik. Dobrze, stary, przypomnij je sobie jedna po drugiej...

I począł nucić te pieśni obozowe, których pamięć dziś przygasła.

Nazajutrz, gdy syn odjechał do Dąbrowy, kapitan z kufra dobył swojej odświętnej bekieszki, założył do niej krzyż Legii Honorowej, który chował w kantorku, starannie owinięty, i począł czyścić suknię, mrucząc sobie:

— Trzebaby przygotować jaką perorę okrągłymi słowy, a moja głowa teraz nie potemu, bo to jutro jechać trzeba z oświadczynami. Ktoby się tego spodziewał, mój Boże!

W sobotę równo ze wschodem słońca zerwał się i pośpieszył do syna, który smacznym snem ujęty, z uśmiechem na ustach spoczywał.

— Nie zbudzę go, widać marzy o szczęściu swojem, o! bo to prawdziwe szczęście. Śpij mój chłopcze! niech ci Bóg błogosławi!

To wyrzekłszy, cicho na palcach wrócił do siebie i zaczął pacierze odmawiać, gdy z cicha drzwi się otwarły i oblicze wąsate a siwe ukazał stary kapral.

— A jak się masz? — zawołał radośnie kapitan, — w samą porę przybyłeś kochany Jacusiu. Ja dzisiaj jadę w konkury, to jest oświadczam mego Jasia, i mam prosić o rękę panny waszej, panny pułkownikównej. Powiedz mi czy mogę w mojej bekieszy jechać?...

— A to czemu nie, — odrzekł poważnie kapral, — ten krzyż i sukmanie pańskie drzwi otworzy.

Kapitan uściskał Jacentego i zaprosił na zwykłe śniadanie swoje, złożone z grzanego piwa z kminkiem, cukrem i chlebem z masłem świeżem. Tak siedzących i gwarzących razem starców, ujrzał, wchodząc, ubrany Nekanda, bo czas się zbliżał do drogi, a mila dobra była z Zacisza do Dąbrowy. Jacenty pożegnał wsiadających na bryczkę Nekandów i wesoły wracał do Zagaja.

Dziesiątą na zegarze w sali pani majorowej wykukała kukułka, gdy zajechali przed ganek dworski. Pułkownik siedział przy łożu, na

którym ubrana spoczywała, gdy służący dał znać o przybyciu pana kapitana z synem.

— Prosić tu do mnie, — rzekła majorowa z rozpromienionem obliczem, — ty, mój Stasiu, pomóż nieśmiałości kapitana poczciwego.

Po chwili wszedł starzec z synem, a oddawszy uroczysty pokłon, przemówił drżącym głosem:

— Panie pułkowniku! ja przychodzę tu... lubo z nieśmiałością, prosić o rękę twej córki dla mego syna i niespodziewam się, jako stary towarzysz broni odmowy przykrej.... bo...

Ale dalej mówić nie mógł.

— Mój panie Franciszku, twoje oświadczyny robią mi najwyższy zaszczyt, bo kocham i szanuję twego syna. Ja i babka chętnie się zgadzamy na to, ale tu głos stanowczy ma sama panna. Klarciu, — rzekł, zwracając się do córki, którą zarumienioną i pomieszaną wiódł brat Władysław, — ty decyduj o swej przyszłej doli...

Nekanda wtedy wystąpił i patrząc na drżącą od wzruszenia Klarę:

— Droga pani, wydaj wyrok szczęścia lub nieszczęścia mego. Mogę ci tylko powtórzyć, com dawniej mówił twej zacnej babce, że poświęcę życie moje dla ciebie...

I ukląkł przed nią. Klara podała mu obie ręce i podnosząc od stóp swoich, rzekła spokojniejszym głosem:

— Godzę się z wolą babki i ojca i ja dla szczęścia twego panie, poświęcę życie moje!

Kapitan całował ręce majorowej, która jakby odmłodzona, siedząc na łożu ściskała na przemiany to Klarę, to Nekandę, zięcia i wnuka. Ślub oznaczono na dziesiąty stycznia, jako rocznicę wesela pułkownika, a babka rzeźwa, kazała stół zastawić w sali, prosząc aby do niej przeszli, gdzie i sama przybędzie, czując się zupełnie zdrową. Jakoż niedługo, wsparta na ręku wnuków swoich, przybyła.

Nekanda po rozmowie cichej z Klarą, oświadczył pułkownikowi, żeby się nie troszczył o nic dla córki. Wyprawa gotowa, a on tymczasem przybuduje parę pokoi w dworku swoim, aby wygodę miała przyszła jego małżonka.

— Nie dla posagu, pokochałem pannę Klarę, — mówił, — zapracowałem krwawym znojem dostatnie mienie dla niej, dla ojca i dla siebie. Bóg dalej będzie nam błogosławił.

Pułkownik z dziećmi wrócił do Zagaja spokojny o zdrowie majorowej, która zrzuciwszy ciężką troskę z serca o los swej wnuczki, wróciła do dawnych zajęć gospodarskich.

Nekanda dłużej przesiadywał w Zaciszu, spiesząc z przybudowaniem czterech pokoi do starego dworku. Obaj z ojcem pilnowali cieśli i mularzy; przed pierwszemi śniegami robota była skończona i dworek stał w pogotowiu na przyjęcie pięknej i młodej narzeczonej.

Mrozy i śniegi pojawiły się dopiero w końcu listopada, a z niemi nadbiegła wieść, że pani Kawęcka z Krowodrzy powiła syna, który w parę godzin umarł, sama zaś jest bez nadziei życia. We trzy dni zgasła na ręku zrozpaczonego męża, który z jej zgonem tracił milionowy majątek. Stary Königsman mieszkał od jesieni w Berlinie; na wiadomość o śmierci córki, odpisał krótko, ażeby jej zwłoki odesłać do Berlina, a on sam nie mogąc zjechać, przyśle pełnomocnika swego, który się zajmie całym majątkiem zmarłej.

Pan Adolf spełnił życzenie ojca, odprowadził zwłoki żony do granicy, gdzie już czekał pełnomocnik Königsmana, który zapowiedział mu, żeby miał gotowe rachunki, gdyż za tydzień zjedzie do dóbr, które jako hipotekowane na imię ojca odbiera i ma polecenie sprzedaży; gdyż po takiej stracie, Königsman przenosi się na stałe do Prus mieszkanie.

Kawęcki wrócił do Krowodrzy złamany cierpieniem i utratą majątku. Pełnomocnik w oznaczonym czasie przybył i doręczył mu list od Königsmana. W nim stanowcze, co do odebrania majątku, zrobiwszy postanowienie, dołączył asygnacyę, ażeby pełnomocnik wypłacił mu, jako zwrot kosztów na żeniaczkę sześć tysięcy talarów. List zakończył temi słowy: „a gdy odwiedzisz nasz kochany Berlin, masz u mnie darmo stół i stancyę, cygara suche i dobre, wystałe nasze piwo“.

W rocznicę pojedynku, pan Adolf mieszkał teraz w samotnym dworze w Lipówce. Dawni przyjaciele zapomnieli o nim, jeden rotmistrz czasami odwiedzał, aby wypić parę butelek starego węgrzyna, z którego wypróżnił wcześnie piwnice swego teścia, obliczający na przyszłość dziedzic Lipówki.

Ciotka, która wiedziała o wszystkiem, zjechała w odwiedziny do bratowej i zaraz zaprosiła Adolfa. Wspierając się na kuli przybył posłuszny siostrzeniec, zmieniony do niepoznania. Rok życia, który przebył, wycisnął na nim piętno przynajmniej lat kilkunastu. Znikł żywy rumieniec, gładkie czoło poorały brózdy troskliwej myśli, włos bujny, przerzedzony siwizna sprószyła. Ciotka ujrzawszy go, krzyknęła z podziwienia, ale miarkując się, udała, że to oznaka jej przywiązania.

Po długiej rozmowie, w której dzieje krótkie swego życia wiernie opowiedział, ciotka wyrzekła:

— Teraz radzę ci pojedźmy za granicę!

— A to po co? — zapytał zdziwiony.

— Masz przecież fundusz dostateczny, na parę lat wystarczy te sześć tysięcy talarów.

— Nie zrobię tego, i nie posłucham rady kochanej cioci, — odrzekł z uśmiechem szyderskim. — Z jej łaski, straciłem dobre imię, bo straciłem honor, jestem kaleką; wstyd mnie ściga i śmiało w oczy ludziom spojrzeć nie mogę. Posag Karolki mojej, mógł mnie pocieszać i wyjednać stanowisko lepsze; ale dziś, wypędzony z Krowodrzy, mając dosyć długów na Lipówce, lecieć za granicę, ażeby ostatni grosz stracić? Nie, kochana ciociu, tego głupstwa nie zrobię, bo temi pieniędzmi zasłonię się od biedy.

Ciotka, rozgniewana, wybiegła, kazała zaprzęgać i odjechała natychmiast; wtedy pierwszy raz, siedząca w zakątku, sędziwa matka odezwała się:

— Nie chwaliłam wielu twoich postępków, ale teraz ci powiem, że robisz dobrze!

Dnia 10 stycznia, w rok po pojedynku, odbył się ślub Jana Nekandy z pułkownikówną w Zagaju, w obecności całej rodziny i babki, a w parę dni przenosiny do Zacisza. Na progu dworku, z chlebem i solą, przyjął sędziwy kapitan państwa młodych, ze łzami radości, powtarzając często:

— O czemuż tego szczęścia nie dożyła moja Anulka!

W rok później kołysał swego wnuka, a paląc fajkę nucił do snu dziecinie. Stary kapral, co częściej teraz zaglądał do swej „panienki“, jak się wyrażał, wystrugiwał z suchego drzewa szabelki, robił koniki, przypominając kapitanowi całe strofki piosnek dawnych, których starzec już zapomniał.

Gwiazda szczęścia i spokoju przyświecała stale skromnemu dworkowi w Zaciszy, gdy w Lipówce, w samotności i zgryzocie starzał się Adolf Kawęcki, przezwany od sąsiadów „łowcem na posagi“.

Nauka i rozrywka.

Przyczyna trzesięń ziemi.

Pomimo całej genialności swego umysłu, pomimo ciągłych wysiłków ujarzmienia natury, staje człowiek bezradny wobec zjawiska, które w kilka chwil zdolne jest zburzyć dorobek jego długoletnich trudów.

Zdawaćby się mogło, iż natura, dla której poznania ludzkość poświęca najlepsze swe siły, drwi sobie z wysiłków swego syna, odsłaniając od czasu do czasu ukryte tytaniczne siły, których jedno drgnienie wystarcza do obrócenia w perzynę jego siedzib i istnienia.

A jednak w dążeniu do poznania sił przyrody niema granic dla umysłu ludzkiego, a im więcej zjawisko jest tajemnicze i niedostępne, tem silniej pociąga badacza. Do takich należą trzęsienia ziemi.

Dziwną koleją losu obszary, nawiedzane przez nie, stały się środowiskiem i zalążnią cywilizacyi ludzkiej. Ameryka środkowa, Azya wschodnia, starożytne Mediterraneum. Zwłaszcza ostatnie! W słonecznej Helladzie i Wielkiej Grecyi żyło ongi plemię, co budowało przyszłość kultury starego świata. W wątek swych cudnych mitów religijnych wplatał grek baśnie i podania o rozsierdzonych tytanach wstrząsających ziemią, o groźnych bóstwach, karzących ludzkość za winy tem strasznem zjawiskiem. A obok tego okrasa starożytnej Grecyi, jej filozofia, zdążająca do odkrycia tajemnic świata, nie pozostaje obojętną dla zjawisk seismicznych. Arystoteles uczy, iż do pieczar podziemnych wdzierają się masy powietrza, tworząc tam wiry; a są one tak silne, iż wstrząsają ziemią. Inni widzą przyczynę trzęsień ziemi w zapadaniu się grot podziemnych, któremi tak obfitują obszary nad Adryatykiem.

Niewiele nowego przynoszą późniejsze czasy.

Dopiero w dobie najmłodszej, w okresie imponującego rozkwitu nauk przyrodniczych, przychodzą nowe poglądy, co mają rozświetlić to tajemnicze zjawisko. Ze stanowiska rozdziału geologii ogólnej, jakie zajmowała do ostatnich lat, nauka o trzesięniach ziemi, czyli seismologia zmienia się na samodzielną gałąź wiedzy o ziemi.

Łączono trzęsienia ziemi z fenomenami wulkanicznemi. Analogia ta nasuwała się mimowoli na myśl. Oba zjawiska czerpały siły z głębin ziemi, co więcej, wybuchom wulkanów towarzyszyły zwykle mniej lub więcej silne wstrząśnienia okoliczne. Jednak z czasem poznano fakty, które zaprzeczyły tym poglądom. Skonstatowano, że trzęsienia ziemi bardzo silnie, nie wpływały zupełnie na działalność wulkaniczną sąsiednich gór ogniowych.

Tak np. ostatnie trzęsienie ziemi w Kalabryi nie obudziło żywszej działalności wybuchowej ani Etny, ani Wezuwiusza, ani wulkanów Liparyjskich. Dalej te uderzenia podziemne, które towarzyszą wybuchom wulkanów, są znacznie słabsze, aniżeli właściwe trzęsienia, i ograniczają się stosunkowo do niezbyt wielkich przestrzeni okolicznych, kiedy trzęsienia ziemi właściwe obejmują ogromne obszary. I nic dziwnego, że przy erupcyi wulkanicznej drży ziemia; jest to przecież zjawisko również potężne, wyładowujące z łona ziemi olbrzymią energię. A zatem między temi zjawiskami niema tak wielkiego związku, jak sądzono, Gdzież więc szukać rzeczywistej przyczyny zjawisk seismicznych?

Odpowiedź na to pytanie stała się możliwą dopiero w ostatnich latach, a to przedewszystkiem dzięki stosowaniu metody statystycznej. Technika dostarczyła niesłychanie czułych przyrządów, notujących każdy ruch skorupy ziemskiej. Cały glob nasz został pokryty siecią stacyi seismicznych pod kierunkiem specyalistów; prowadzą one stale z dnia na dzień rejestry drgań, jakie przebiegają przez ziemię. W ten sposób miejsce dawnych pamiętników i opowiadań, zazwyczaj przesadzonych i nieprawdziwych, zajęła naukowa statystyka. I od tej chwili rozpoczyna się imponujący rozwój seismologii — dawne tajemnice wyjaśniają się powoli, lecz stale — noc zastępuje brzask nowego dnia.

Dwaj badacze Milne i de Montessus de Ballore, korzystając z zebranego przez stacye seismiczne materyału, wykreślają na mapie miejsca, nawiedzane przez trzęsienia ziemi. Okazuje się, że wypadają one w obszarach o pewnej charakterystycznej budowie geologicznej. Są to obszary — jak mówi geolog — wielkich dyzlokacyi skorupy ziemskiej, to jest tereny, w których siły górotwórcze wyprowadziły z normalnego stanu warstwy skalne, spiętrzając je jedne na drugie, łamiąc je i fałdując. Na miejscu dawnych oceanów wznoszą się dziś dumne szczyty górskie i jedynie skały z zawartemi w nich skamieniałemi resztkami wymarłych zwierząt świadczą o minionych czasach tej okolicy.

Geologia uczy nas rozpoznawać wiek warstw skalnych, uczy odczytywania czasu w dziejach ziemi, kiedy owe fałdowania następowały. Wyróżniamy dziś kilka systemów czyli epok silnej działalności górotwórczej; oddzielają je okresy czasu zbyt długie, aby je można było

podać w ludzkim rachunku czasu. Najstarsze giną w mrokach dziejów ziemi, późniejsze, również stare, zostały zniszczone, zmyte, pokryte osadami młodszemi i tylko wprawne oko badacza odkryje w pozostałych po nich resztkach ślady dawnej potęgi. Młodsze ocalały — jako ruiny dawnych systemów górskich. Tu należą Ural, góry Niemiec środkowych, u nas pasmo kielecko-sandomierskie i inne. Wreszcie ostatni wielki okres górotwórczy, najmłodszy, którego świadkiem był, być może, już człowiek pierwotny, wydźwignął z fal praśródziemnego morza, tak zwanej Tetydy, najwyższe dziś systemy górskie: Pireneje, Apeniny, Alpy, Karpaty, Dynarydy, góry Afryki północnej, Azyi środkowej z najwyższemi Himalajami, w Ameryce pas Kordylierów.

Statystyka seismologiczna wskazuje, iż najsilniejszym i najczęstszym paroksyzmem seismicznym podlegają obszary najmłodszych falowań. W tym pasie leży Lizbona, Messyna, Grecya, Wiernoje, San-Francisko, Meksyk. Im dawniej pewien teren ulegał ruchom górnotwórczym, tem jest on spokojniejszym, tem więcej aseismicznym. A w obszarach najstarszych fałdowań ziemi — zdolność seismiczna sprowadza się do zera.

Jakiż stąd wniosek?

Logiczny istnieje tylko jeden. Trzęsienia ziemi są objawem trwania sił górotwórczych. W terenach starych wyczerpały się one. Zachodzą wprawdzie i tam jeszcze przemieszania mas skalnych, ale są to ruchy słabe, niezdolne silnie wstrząsnąć ziemią. Inaczej się dzieje w młodych. Tu siły górotwórcze nie zostały jeszcze wyczerpane, działają one z całą siłą, zdążając do zmiany krajobrazu, a człowiek odczuwa je jako straszne w swych skutkach zjawisko seismiczne.

Wyprawa Japończyków do bieguna południowego.

Do portu Jackson, w Sydney zawinęła niefortunna wyprawa japońska, urządzona do południowego bieguna. Jej dzieje są jednym więcej dowodem olbrzymiej ambicyi Japończyków. Gdy usłyszeli, że kapitan Amudsen z ekspedycyą norweską a kapitan Scott — z angielską wyruszyli w październiku r. z. z Australii do bieguna południowego, postanowili ich wyprzedzić i pierwsi zatknąć chorągiew „wschodzącego słońca“ w krainie wiecznych lodów.

Na czele wyprawy stanął komendant Shirase, jakby wskazany do tej roli, dzięki długim latom, spędzonym na półwyspie Alaska. Zgłosiło się aż 300 ochotników, gotowych puścić się na tę ekspedycyę. Wybrano z pośród nich szesnastu najzdrowszych i najsilniejszych. Lecz nie dość ludzi — należało mieć pieniądze, i to dużo pieniędzy: wszak kapitan Scott wyruszył z 40,000 ft. szterl. Rząd japoński odmówił wręcz ma-

teryalnego poparcia wyprawie japońskiej, więc cały kraj wrzucał obole do tej skarbony w imię narodowych ambicyi. Dzieci, uczniowie wszystkich szkół japońskich zbierali minimalne składki na koszta wyprawy i zebrali 12,000 funtów szterlingów.

Kupiono mały, trzymasztowy okręt „Kainan-Maru", wzięto 24 psy z Sachalinu i dzielni Japończycy puścili się w drogę. Zanim zdołali przepłynąć równik, psy zginęły z gorąca. Wyprawa dotarła do wyspy Coulman, przy 74° szerokości geograficznej, a 171° długości, a więc zaledwie do połowy celu podróży.

Japończycy próbowali kilkakrotnie wylądować, wichry i góry lodowe odrzucały ich wciąż od brzegu. Musieli wrócić na zimowe leże do Australii.

Rząd australijski surowo broni wstępu na swą ziemię. W pierwszych dniach po zarzuceniu kotwicy w Jackson, wyprawa podbiegunowa znalazła się wśród samych wrogów. Nie pozwolono jej wylądować — a wszak niepodobna kilka zimowych miesięcy spędzić na statku. Szczęściem w Sidney była kolonia japońska, za pośrednictwem swego konsula, uczestnicy wyprawy otrzymali pozwolenie od rządu australijskiego na wylądowanie w charakterze — uczonych. Nauka stanowi bowiem w Australii wyjątek i nie podlega ograniczeniom, tyczącym się zwykłych „żółtych" emigrantów. Pozwolono zatem Japończykom rozbić namioty nad zatoką Parsley. Ale wynikły nowe trudności. Rząd dał tylko pozwolenie na wylądowanie. Właściciele bezużytecznie leżących gruntów nie chcieli pozwolić Japończykom na stawianie namiotów. Trzy razy ich rozpędzano, zabierali swe manatki na plecy i szli dalej. A mieli co dźwigać: blaszane dachy, sanki, paki z prowiantami, namioty, wreszcie składany dom drewniany. W jakiemś czwartem miejscu przestano ich niepokoić.

Redakcye pism sydneyskich, dowiedziawszy się o przybyciu wyprawy, postanowiły mieć dokładne sprawozdanie. Reporterzy szli na wyścigi po zdobycie wywiadów, ale wszystko rozbijało się o niewzruszone milczenie i uśmiechy Japończyków. Podniety do wywiadów dodał następujący epizod z celnikami.

Gdy „Kainan-Maru" jeszcze przed swem wyruszeniem do bieguna, zarzucił był kotwicę w Nowej Zelandyi, urzędnik celny w Welingtonie z mocy swego urzędu, musiał się dowiedzieć, co okręt zawiera, jak długo ma zamiar stać w porcie i gdzie płynie.

Otóż na wszystkie pytania, stawiane po angielsku, Japończycy tylko się uśmiechali, dając do zrozumienia na migi, że tego języka nie znają. Urzędnicy portowi zaniechali dalszych badań.

Po paru dniach, gdy okręt był już o sto mil od brzegów Nowej Zelandyi, w drodze do bieguna, dowiedzieli się przypadkiem, że oficerowie „Kainan-Maru“ zaopatrzyli się w Welingtonie w mnóstwo czasopism i książek angielskich, a więc, że władają doskonale tym językiem, a tylko dla zmylenia czujności władz celnych i natarczywości dziennikarzy, udawali, że nie rozumieją ani słowa.

Gdy więc okręt w powrotnej drodze zawitał do Sydney, ciekawość dziennikarzy rozpętała się jeszcze bardziej. Lecz reporterowie angielscy zostali odprawieni z niczem. Zdołała jednak dostać się na pokład „Kainan-Maru“ i pod namioty p. Janina Czaykowska, korespondentka „Słowa polskiego“, a to dzięki protekcyi oficera innego okrętu japońskiego „Nikko Maru“, który w tym czasie zawinął także do Sydney, a także dzięki sympatyi obywateli „wschodzącego słońca“ dla Polaków. W miejscowym świecie dziennikarskim powstało oburzenie, że komendant Shirase był uprzejmiejszy dla publicystki polskiej, niż dla reporterów miejscowych.

Miłość wśród zwierząt.

Oprócz ludzi istnieje na świecie niezliczone mnóstwo różnych stworzeń, które, podobnie jak my, mają czucie na ból i cierpienie, — tylko one nie mogą powiedzieć, co je boli, nie mogą się skarżyć, gdy człowiek zły, bez serca i uczucia szlachetnego, krzywdę im wyrządza. Biedne zwierzęta! Ileż to one cierpień doznają od złych ludzi!

Weźmy psa i kota. Ileż to cierpią nieraz te stworzenia od złych i psotnych dzieci, które je męczą, dokuczają im. A i sami właściciele psów i kotów męczą je nieraz, nie dając im należytego pożywienia, głodząc je niemiłosiernie. Komu pies i kot niepotrzebny, niech ich najlepiej nie trzyma. Jeśli zaś kto trzyma, to niechże się niemi opiekuje.

Dalej pomyślmy o koniach. Ileż to cierpień zadają tym użytecznym stworzeniom źli ich właściciele lub słudzy, nie dając im jeść w czasie właściwym, lub trzymając długo bez wody.

Jakże często zdarza się widzieć konie przeciążane bez litości robotą, zmuszane ciągnąć wozy naładowane bez miary, albo po źle utrzymanych drogach. Biedne zwierzę dobywa ostatnich sił, a tu co chwila nielitościwie spada na nie bat, niewygodna zaś uprząż rani je i uciska. Czy nie tak bywa? A czy to tak być powinno?

A biedne krowy i cielęta, czy to mało cierpią od złośliwych, nieraz jakby zdziczałych pastuchów? Jakże nielitościwie obchodzą się oni z niemi, jak je biją, jakie krzywdy na łąkach i pastwiskach im nieraz wyrządzają!

Ptaszki nawet niewinne, co swym śpiewem rozweselają nas, co tak pożyteczne są dla rolnika, bo niszczą robactwo szkodliwe, dostawszy się w rękę złego wyrostka znoszą okrutne męczarnie. Okrutny chłopak jeśli nie może ptaszka schwytać, to mu choć gniazdo zniszczy, albo jajka wybierze, potłucze, a matkę od piskląt odpłoszy.

I czemuż to tak źle się dzieje? Winno temu złe wychowanie, zły przykład, a najczęściej głupota i brak zastanowienia.

A jaka na to rada? Oto niech wszyscy ludzie dobrej woli zwracają uwagę na siebie i na innych, i żadnemu stworzeniu nie zadają niepotrzebnie bólu i cierpienia. Niech ojcowie i matki wpajają to w swoje dzieci, niech je uczą, że i dla zwierząt należy być dobrym; niech już od najmłodszych lat zaprawiają ich serca do miłosierdzia i współczucia. Pamiętajcie, że kto nie ma litości dla zwierząt, ten jej mieć nie będzie i dla ludzi.

W większych miastach istnieją towarzystwa opieki nad zwierzętami. Pozakładali je ludzie dobrej woli i tkliwego serca, — a takiem winno być serce każdego człowieka.

Połączyli się w towarzystwa, aby wspólnemi siłami pracować nad tem, by ludzie nie obchodzili się ze zwierzętami jak dręczyciele, jak oprawcy.

Towarzystw takich niewiele. Ale niekoniecznie trzeba być członkiem towarzystwa opieki nad zwierzętami, aby losem ich się opiekować. Bądźmy wszyscy ich opiekunami, bądźmy dla nich miłosierni. Starajmy się, aby nietylko ludziom, ale i zwierzętom było z nami jak najlepiej. Podnośmy i uszlachetniajmy nasze serca i dusze. Starajmy się, żeby coraz mniej bólu, coraz mniej nieszczęść było na świecie, a natomiast żeby szczęście i dobro wśród nas zapanowało.

Z ruchu wstrzemięźliwości.

Odezwa lekarzy do polskiego społeczeństwa. Alkohol a wiedza. Wobec coraz bardziej wzmagającego się zwyczaju używania napojów wyskokowych (alkoholowych), czyniącego straszne spustoszenia wśród społeczeństw cywilizowanych, my, przedstawiciele stanu lekarskiego, biorący udział czynny w ruchu przeciwalkoholowym, poczuwamy się do obowiązku oświadczyć w obliczu całego świata co następuje:

1) Badania naukowe wykazały, że alkohol nawet w miernych ilościach używany powoduje i wywoływa zaburzenia w czynnościach mózgu, poraża siłę woli, upośledza zmysł krytyczny, przytępia zmysł etyczny i estetyczny, nareszcie osłabia moc panowania nad sobą. Taka

działalność alkoholu zmusza do uznania go za truciznę; to też nie powinien on być nadal zaliczany do środków odżywczych.

2) Wiedza stwierdziła, że wskutek używania napojów alkoholowych obniża się znacznie odporność naszego ciała, odnośnie do zarazków chorobowych wszelkiego rodzaju, i że przez to skróca się długość życia ludzkiego.

3) Ludzie zupełnie wstrzemięźliwi odznaczają się o wiele znaczniejszą dzielnością twórczą, w porównaniu z umiarkowanie nawet pijącymi, większą wytrwałością fizyczną, moralną i intelektualną, a nadto silniejszą odpornością w chorobach zakaźnych.

4) Największe jednak niebezpieczeństwo ze strony napojów wyskokowych widzimy w degeneracyi, czyli zwyrodnieniu rasy ludzkiej. Potomstwo pijących odznacza się wogóle słabą budową ciała, a w szczególności osłabieniem układu nerwowego. Niebezpieczeństwo, o którem mowa potęguje się obecnie jeszcze przez to, że i kobiety zwolna, lecze coraz więcej ulegają zwyczajowi picia, a w ten sposób zakaża się trucizną i tę dotąd zdrową połowę krwi ludzkiej. Gdy matki przyszłych pokoleń zaczną się tak silnie zatruwać, jak to czynili i czynią ojcowie, to zwyrodnienie nastąpi z konieczności daleko szybciej, niż dotychczas i już w niedługim czasie nastąpi powszechne zwyrodnienie.

5) Lecz zło, spowodowane alkoholizmem, dotyka nietylko tych, którzy mu się oddają, lecz godzi także w niewinnych. Tysiące ludzi ginie skutkiem nałogu pojedynczych jednostek. Przywiedźmy sobie na pamięć owe straszne katastrofy na drogoch żelaznych, na morzu, we fabrykach, kopalniach, warsztatach, następnie rozboje, złodziejstwa, podpalania itd., dokonywane często w stanie upojenia. Uprzytomnijmy sobie cierpienia tych milionów istot, tysiąca tysięcy rodzin, nękanych bez litości przez opojów-ojców, i setki tysięcy dzieci, zrodzonych w chorobie i nędzy; wszak one stają się ciężarem dla społeczeństwa i przekazują z pokolenia w pokolenie nędzę swoją i swoje choroby.

6) W myśl tego wszystkiego, co się powiedziało powyżej, uznajemy za święty obowiązek każdego człowieka myślącego, którego nałóg nie pokonał jeszcze, ażeby wszelkiemi siłami współdziałał z tymi, którzy podjęli walkę z alkoholizmem, dając ze siebie przykład zupełnej wstrzemięźliwości.

Jesteśmy przekonani, że po usunięciu napojów alkoholowych z użycia inne przyczyny nędzy ludzkiej dadzą się łatwiej pokonać i wtedy dopiero nastąpić będzie mogło rozwiązanie wielkich zadań społecznych.

Głód i pragnienie Londynu.

Nowoczesna broń — strejki — może się poniekąd równać z oblężeniem miast. Doświadczają tego na sobie w obecnej chwili mieszkańcy Londynu. Prawie wszystko, co spożywa ta olbrzymia metropolia, licząca 8 milionów mieszkańców, przybywa do niej z zewnątrz: mleko pochodzi od krów, które się pasą na łąkach hrabstwa Sommerset, zboże nadsyła Ameryka północna, słoninę — Holandya, masło przybywa z Normandyi, jaja — z Danii, kawa — z Indyi, jarzyny z bliższej i dalszej okolicy. O ilości produktów, potrzebnej dla wyżywienia stolicy, dają miarę następujące cyfry: do Londynu w roku ubiegłym przybyło z zewnątrz 419,000 ton mięsa, poza tem w mieście zaszlachtowano 58,000 wołów i 376,000 baranów. Przez rogatki przeszło 174,000 ryb. Londyn wypija rocznie 80 milionów galonów mleka, konsumcya dziennie wynosi $1^1/_4$ mil. litrów. W czasie normalnym co wieczór mleko bywa dowożone pociągami specyalnemi. Z dworców kolejowych zabierają je wprost detaliczni przekupnie. Ogółem 150,000 krów dostarcza mleko, 40 ludzi rozwozi je po mieście. Londyn spożywa dziennie 3 miliony bochenków chleba, wagi ogólnej 6 mil. funtów kartofli, 750,000 główek kapusty i 96,000 litrów grochu i bobu. Londyn konsumuje dziennie 900 mil. litr. wody, w tem $4^1/_4$ mil. litr. wody do picia, do gotowania kawy, herbaty, kakao. Anglicy, jak wiadomo, lubią herbatę. Otóż Londyn konsumuje dziennie 100,000 herbaty (jako kwiatu, bez wody do zalewania go), proszku kawy i kakao — dziesięć razy mniej. Stolica wypija dziennie napojów alkoholicznych za 50,000 ft. szter.

„Na przyszły rok pójdę“.

Niebezpiecznie jest odkładać spowiedź na czas późniejszy. Człowiek wmawia wtedy w siebie, że to tylko nic nieznacząca zwłoka, a zwłoka taka nieraz bywa opłakaną. Ksiądz de Segur opowiada następujące zdarzenie:

Kapelan pewien, zwiedzając więzienie paryskie La Roquette, spotkał tamże między innymi młodzieńca 17-to letniego, do którego zwrócił się z kilku przyjaznemi słowy:

— Mój przyjacielu, — zapytał, — czy nie pragnąłbyś, spowiadać się? Uczułbyś się bezwątpienia bardzo zadowolonym. Zważ zresztą, że Wielkanoc się zbliża.

— Nie, mój ojcze, — odrzekł młodzieniec, — przynajmniej teraz tego nie uczynię. Spowiedzi wielkanocnej w tym roku nie odbędę, lecz przyrzekam nie zaniedbać jej w roku przyszłym.

— A czemuż nie teraz, moje dziecko, — zapytał kapłan. Któż ci zaręczy, że za rok jeszcze żyć będziesz?

— A czemużbym żyć nie miał, mój ojcze, była odpowiedź młodzieńca, — jestem zdrów i w przyszłym roku z pewnością do spowiedzi pójdę.

Mówiący oznaczony był numerem 30. Kapelan opuścił więzienie, nic nie wymógłszy na młodzieńcu.

Nazajutrz wszedł tenże sam duchowny do oddziału dla chorych, dysponować na śmierć również 17-letniego chorego śmiertelnie. Przechodząc koło jednej celi, ujrzał przybity na niej numer 30. Na zapytanie kim by był chory, w celi tej leżący, odebrał odpowiedź, że to ów zatwardzialec, odkładający spowiedź na rok przyszły. Dostał on po odejściu kapłana mocnego bólu głowy, zagrażającego, jak się zdaje, zapaleniem mózgu.

Kapelan wszedł do jego celi, przemawiał do niego, lecz odpowiedzi nie odebrał. Udzielił wtedy choremu warunkowego rozgrzeszenia, a kiedy przywołany lekarz i dozorca przybiegli do umierającego, już tenże nie żył.

Z sercem, smutkiem przejętem zdążał kapelan do drugiego chorego. Tam przynajmniej czekała go pociecha. Konający przyjął go z radością i spowiadał się. Kapelan, chcąc mu dodać otuchy, wlewał weń nadzieję wyzdrowienia.

— Ach, mój ojcze, — odrzekł na to młodzieniec, — mam nadzieję, że Bóg w swej łasce pozwoli mi umrzeć teraz, gdym się z Nim pojednał. Gdybym wyzdrowiał, kto wie, dokądby mnie znowu słabość moja zawiodła. Módl się, mój ojcze, by mnie Bóg wnet do siebie powołał.

Łaskę tę uprosił sobie ów młodzieniec u Boga i umarł śmiercią sprawiedliwego.

Przeciw kradzieżom dzieł sztuki.

Przed licznem audytoryum, zebranem w galeryi księcia Lichtensteina w Wiedniu, przedstawił dyrektor Herman Erndt przez siebie wynaleziony przyrząd elektryczny, który ma zapobiedz kradzieży dzieł sztuki, tudzież cennych przedmiotów. Wynalazca, którego wynalazek na niektórych obrazach działał doskonale, zyskał gorący poklask. Pisma niemieckie nie podają jednak, na czem polega ta ochrona obrazów przed złodziejami, twierdzą natomiast, że przy zastosowaniu tego aparatu ani kradzież, ani usunięcie, ani wreszcie wykrojenie obrazu nie jest możliwe.

Dziwna przygoda.

(Opowiadanie z angielskiego).

Parę miesięcy temu, późnym wieczorem siadałem do tramwaju parowego, chcąc jechać do domu, gdy nagle ktoś dotknął mej ręki.

— Przepraszam, mam maleńką prośbę.

Obejrzałem się. Przedemną stał młody, trzydziestoletni człowiek, wytwornie ubrany, z monoklem w oku.

— Czego pan sobie życzy? — zapytałem uprzejmie.

— Pieniędzy! — odparł z uśmiechem. — Tak się zdarzyło, że nie mam grosza w kieszeni, a chcę pojechać tramwajem, gdyż się spieszę. Czyby pan nie zechciał mi pożyczyć dwóch pensów?

— Z przyjemnością. Proszę pana!

— Ale pozwoli pan, że pieniądze zwrócę, żebym tylko wiedział komu.

Machinalnie podałem mu swój bilet wizytowy, on się wywzajemnił. Wskoczyłem do wagonu, nieznajomy poszedł do kasy kupić bilet.

W wagonie spojrzałem na bilet. Wyczytałem na nim nazwisko: „Wiliam Fanton", schowałem bilet do kieszeni i za pięć minut zapomniałem o przygodzie.

Było to w piątek. We wtorek następny otrzymałem list od Fantona, pisany w jednej z pierwszorzędnych restauracyi. Do listu dołączone były dwie marki pensowe i bilet do teatru na dzień następny. Fanton przeprasza, że ośmiela się przysłać mi bilet, ale dostał go darmo i bardzo mu będzie przyjemnie, jeżeli z niego skorzystam.

Nazajutrz poszedłem do teatru. Obok mnie siedziała młoda, śliczna panienka z wujem, jak się dowiedziałem z podsłuchanej rozmowy. Panienka spojrzała na mnie z dziwnym przestrachem.

Po pierwszym akcie wuj wyszedł z sali, a panienka zwróciła się do mnie żywo:

— Przepraszam, pan zajął cudze miejsce.

Pokazałem sąsiadce bilet, aby jej dowieźć, że legalnie zajmuję miejsce. Chciała coś odpowiedzieć, lecz w tej chwili wszedł wuj.

Po drugim akcie wuj znów wyszedł.

— Czy pan przyszedł za niego? — usłyszałem zapytanie — mów pan prędzej!

— Tak! — odparłem — przyszedłem za kogoś innego.

— To dobrze! — odezwała się, wzdychając z ulgą.

W tej chwili uczułem, że sąsiadka wsuwa mi do ręki zapieczętowaną kopertę.

Przez cały trzeci akt trzymałem kopertę w ręku, nie wiedząc, co z nią zrobić. Gdy kurtyna spadła, sąsiedzi moi zniknęli szybko.

Po wyjściu z teatru wstąpiłem do pierwszej kawiarni, zamówiłem filiżankę kawy i rozpieczętowałem list.

Jakież było moje zdumienie, gdy w kopercie znalazłem drogocenny pierścionek damski i czterdzieści sztuk banknotów 5-funtowych. Przytem żadnego listu, ani jednego słóweczka.

Zatopiony w domysłach, wróciłem do domu, lecz tu spotkała mnie znów niespodzianka.

W mojem kawalerskiem mieszkaniu zastałem wszystko przewrócone „do góry nogami". Wszystkie szuflady, szafy, stoliki były poodrywane i otworzone. Ktoś złożył mi wizytę niespodziewaną. Wprawdzie nie bardzo się pożywił, wszystko co mi zabrano, przedstawiało wartość najwyżej 25 funtów. Ale co najciekawsze, złodzieje zostawili list następujący:

„Panie! Człowiek o pańskiej powierzchowności i pańskiej szczodrobliwości mógłby prowadzić nieco wystawniejsze życie. Zwłaszcza nie do darowania jest pańska piwnica i spiżarnia, Twój nie tyle rozgniewany, co zasmucony W. F.".

W. F., — pomyślałem — to chyba Wiliam Fanton. Czyżby kradzież w mojem mieszkaniu i przygoda w teatrze miały z sobą jakikolwiek związek? To rzecz wątpliwa. Coby to był za interes dla złoczyńców ofiarować mi 200 funtów i kosztowny pierścień, aby w tym czasie okraść mnie na 25 funtów?!

Nazajutrz wychodząc na miasto, wziąłem owe 200 funtów do kieszeni i pierścień na palec, obawiając się zostawić kosztownych rzeczy w domu. Na mieście spotkałem niespodzianie starego przyjaciela, Harrego Silvestre'a, który powrócił niedawno z Afryki południowej. Wieczorem byliśmy razem na obiedzie w klubie.

Harry w bardzo zajmujący sposób opowiadał o wojnie. Mówił takie rzeczy, o których nie można się było dowiedzieć z gazet, ani z raportów ministeryum wojny. Zauważyłem jednak, że Harry nie był w humorze. Przy kawie zapytałem go o powód smutku.

— Martwi mnie postępowanie Toma... znasz przecież mego młodszego brata?

— A jakże, spotykałem go często, ale to już dość dawno. W ostatnich latach nie widywałem go wcale.

— Więc wyobraź sobie, że ten głupiec wpakował się w obrzydliwą sprawę. Trzeba ci wiedzieć, że Tom zaręczył się z córką pułkownika Cartryte, miss Lucy i że zaręczyny te obecnie zostały zerwane. Stary był zawsze przeciwny temu małżeństwu, zwłaszcza, że Tom prowadził się nie bez zarzutu. Smarkacz wlazł w bardzo brzydkie towarzystwo. Łotrzy jacyś wciągnęli go do gry i ograli do suchej nitki. Chłopak narobił długów. Chcąc się wykręcić sprzeniewierzył pieniądze firmy, w której pracował. Ma się rozumieć przegrał je pułkownik, zabronił córce widywać się z Tomem. Pomimo to miss Lucy naznaczyła mu spotkanie w środę, i wiesz, co ten cymbał zrobił? Przedewszystkiem spotkał się z koleżkami, którzy go spoili, okradli po prostu i zostawili na los szczęścia. Po przebudzeniu Tom zrozumiał, że wszystko przepadło, że zaspał spotkanie z miss Lucy. Siedzi teraz w swym pokoju i myśli seryo o samobójstwie. Co z takim osłem robić?

— Brzydka sprawa. Czy dużo przegrał?

— Dwieście funtów.

— Czy mógłbym się z nim widzieć?

— Będę ci bardzo wdzięczny. Nie wiem sam, co z nim począć.

Tom przystojny, miły, 22-letni chłopak, był bliskim obłąkania. Spostrzegłem odrazu, że prawienie morałów do niczego nie doprowadzi.

— Powiedz mi pan wszystko szczerze, być może że będę w stanie panu dopomódz.

Tom opowiedział otwarcie swoją historyę. Gdy skończył, wziąłem go za rękę i odezwałem się:

— Nie rozpaczaj pan! Zdaje się, że...

Nagle Tom chwycił mnie za rękę i z wściekłością ryknął:

— Do licha! Skąd pan masz ten pierścionek?

Spojrzałem na Toma, na pierścionek i domyśliłem się wszystkiego.

— Ten pierścionek dostałem od pewnej panienki — odparłem z uśmiechem.

— Kłamiesz pan!

— Spokojnie, młodzieńcze! Jeżeli będziesz pan grzeczny i przyzwoity, zaraz sprawę wyjaśnimy. Miałeś się pan widzieć wczoraj z miss Lucy, tak?

— Tak.

— Gdzie?

— Co to pana obchodzi?

— Czy może w teatrze?

Tom spojrzał na mnie zdumiony.

— Widzę, że się nie omyliłem. A teraz powiedz mi pan, czy do pańskich niebezpiecznych przyjaciół nie należał młodzieniec trzydziestoletni, elegancki, z monoklem na oku.

— Owszem, to Walter Fannel. Bardzo przyjemny człowiek. Nie wierzę, aby on należał do kradzieży.

— Może pan masz słuszność, ale tymczasem weź pan ten pierścionek i 200 funtów, które ci przysyła pewna osoba. Radzę panu, abyś temi pieniędzmi pokrył sumę... pożyczoną od firmy, a potem pogodził się z tą osobą. Ona dla pana jest bardzo dobrą, nawet za dobrą.

— A teraz ty, Harry, pozwól ze mną, będziesz mi potrzebny.

Udaliśmy się bezzwłocznie do biura policyi. W kilka godzin później Walter Fannel, czyli Wiliam Faton, został aresztowany. Obecnie odsiaduje w więzieniu dość długą karę, na jaką sąd go skazał.

Sprawa się wyjaśniła ostatecznie. Miss Lucy dowiedziała się, że Tom szuka pieniędzy, aby pokryć deficyt. Wystarała się o potrzebną sumę i wyznaczyła lekkomyślnemu eks-narzeczonemu spotkanie, aby wręczyć mu pieniądze i jednocześnie zwrócić mu pierścionek zaręczynowy. Kupiła trzy bilety do teatru, jeden z nich posłała Tomowi, a wuja namówiła, aby z nią pojechał do teatru.

Tymczasem Tom bilet zgubił a właściwie został mu z innemi rzeczami ukradziony przez Fantona i dostał się w moje ręce.

Fanton chciał widocznie połączyć przyjemne z pożytecznem. Mnie wysłał do teatru z ukradzionym biletem, aby tymczasem okraść moje mieszkanie. Ale sprytny zamiar się nie udał.

Dla Toma lekcya, jaką otrzymał, okazała się zbawienną. Podobno poprawił się zupełnie. Przed paru dniami spotkałem go w parku. Siedział w powozie z pułkownikiem i z miss Lucy; udał, że mnie nie poznaje... Niewdzięcznik!

BŁYSKAWICA.

Niezwykłe przygody rozbitka.

(Ciąg 5-ty).

— Czy w każdej z tych muszel perły się znajdują? — zapytałem.

— Prawie w każdej, ale najczęściej w stanie pyłku, nie mającego żadnej wartości. Niektóre muszle zdarzają się zupełnie puste, inne znowu zawierają istne skarby. Ot, patrzcie na ten egzemplarz!

Otworzył obie połowy muszli wielkiej, bardzo nieforemnej i którą owady toczące poprzewiercały licznemi dziurkami. Po otwarciu jej zawołałem z niemałem zadziwieniem.

— Ależ to puszka z klejnotami!

— Siedemdziesiąt siędem dziurek, siedemdziesiąt siedem pereł! — odpowiedział kapelan, — wszystkie przystające do zadanych ranek, bo przeznaczone są do ich zatkania. Nie są one ani bardzo okrągłe, ani zbyt regularne, gdyż nie chodziło zwierzęciu o utworzenie arcydzieła, ale o niedopuszczenie wody do wnętrza swego mieszkania. Gdyby zamiast niebezpieczeństwa zewnętrznego, wewnątrz mu ono groziło, gdyby naprzykład, ziarnko piasku dostało się między fałdy płaszcza, małż nie mogąc go usunąć, okryłby substancyą perłową, aby złagodzić dotknięcia, i perła zupełnie odosobniona powiększałaby się i zaokrąglała powoli.

— A do jakiej mogłaby dojść wielkości? — zapytałem.

— Rozmaitej, począwszy od takiej jak główka szpilki, aż do wielkości dużego kurzego jaja, — odrzekł ksiądz O'Reilly, wyciągając szeroką szufladkę, w której zachowując stopniowanie wielkości, ułożonych było symetrycznie przeszło dziesięć tysięcy pereł.

Najmniejsze nie przechodzły wielkością zwyczajnego kuropatwiego szrótu; te perły, które w handlu nazwane są nasieniem, sprzedają się na miarę; większe zaś sprzedają się na wagę, a ta waga jest znaczna, bo substancya, co je składa, bardzo jest ciężką.

Kapelan mi wytłomaczył, że w handlu wielkość perły nie stanowi tak bardzo ważnej rzeczy, tylko czystość kształtu, oraz piękność

blasku, czyli tak zwana woda. Perła najdokładniej okrągła, albo regularny kształt gruszki mająca, płaci się o wiele więcej, aniżeli nieregularna, a tem bardziej, nie mająca czystego blasku. Gdy zapytałem o wartość tych bogactw natury, odrzekł mi uczony kapłan:

— Za perłę w r. 1579, Filip II zapłacił milion w naszej monecie, — odpowiedział kapelan, — i nie sądzę, aby mniej wartą była; za sprzedaną zaś szachowi perskiemu przez Favernie zapłacono 2 miliony 700 tysięcy franków.

— A taż gruszka cudowna, — zapytałem, — tak wybornego kształtu, zdającą się ciskać błyskawice, ileż może kosztować?

— Gdybyś dał za nią pięćdziesiąt, przepłaciłbyś o połowę.

— Jakto! nie warta więcej nad dwadzieścia pięć tysięcy franków, i dlaczegóż?

— Nie tysięcy, ale dwadzieścia pięć franków, i to jeszcze byłoby za wiele. Weź ją w rękę.

— Ach! jakaż lekka!

— Bo szkło na niej cienkie; ja sam ją zrobiłem; jest to perła fałszywa, jak pewna kolia, która niegdyś na balu cesarskim w Paryżu zrobiła ogromne wrażenie. Żona wielkiego bankiera, która ją miała na sobie, olśniewała wielkością i pięknością tych pereł wszystkie tam zebrane panie, ale nieszczęście chciało, że sznureczek, na którym były nawleczone rozerwał się, perły się rozsypały, poczęto zbierać i po ich lekkości poznano, że były fałszywe.

— Jednakże naśladowanie jest wyborne.

— Nic łatwiejszego: ażeby je otrzymać, wlać należy w kulkę ze szkła bardzo cienkiego parę kropel substancyi, która powstanie z rozpuszczenia drobnych łusek zwyczajnej rybki, zwanej płotką w amoniaku. Ta substancya po wyschnięciu szczelnie przystanie do wewnętrznych ścianek kulki, która się wypełni roztopionym woskiem dla nadania większej trwałości. To rzecz zbyt małej wagi. Ale weźno te, przypatrz się im, zważ, rozpatrując przez szkło powiększające!

— Wszak to są perły prawdziwe, nie zaś fałszywe, jak ta wielka?

Jedno i drugie zarazem, a raczej są to perły, wytworzone w spółce: mięczaków i ludzi.

— Spółka nie bardzo dla ludzi zaszczytna, — odezwał się p. Durand.

— Ale korzystna, kochany doktorze, a postępowanie jej jest takie: Chińczycy, lud przemyślny i wszystko uważnie badający, oddawna wiedzieli, że każde zadraśnięcie mięczaka wywołuje znaczne wydzielanie się substancyi perłowej, jeżeli go nie zabija. Zręczni nurko-

wie wybierają miejsca, w których znajdują się okazałe muszle, siłą roztwierają ich skorupy i umieszczają ziarnko piasku między fałdy płaszcza zwierzącia. Po upływie lat siedmiu perła jest doskonałą i żadnej różnicy od prawdziwej nie przedstawia, która nieraz w taki sam sposób powstaje i w środku ziarnko piasku także zawiera. A czy wiesz jak się poławiają perły?

Miałem odpowiedzieć, kiedy drzwi kajuty się otworzyły i wszedł kapitan.

— I cóż młodzieńcze, — rzekł do mnie, — widzę, że nie bardzo nudzisz się tutaj. Ale noc już nadeszła i wypłyniemy na powierzchnię morza dla odnowienia zapasu powietrza; księżyc świecić będzie. Jeżeli masz chęć, to chodź na pokład, będziesz mógł widzieć wybrzeża Arabii.

W pięć minut potem „Błyskawica“, umniejszając swój ciężar za pomocą pomp tłoczących, podnosiła się zwolna, aż ku powierzchni wód spokojnych i lekko się kołysała na zaledwie widocznej fali: my zaś wszyscy wyszliśmy na pokład, wdziawszy na siebie flanelowe płaszcze, aby się osłonić przed chłodem nocy, szczególnie niebezpiecznym w tych gorących strefach.

Tysiące gwiazd migotało na niebios sklepieniu, a odbijając się w morskiej toni, błyszczało na niej świetlanemi pnkcikami; uroczysta cisza unosiła się nad głębiami, które rozjaśniały czasami szerokie fosforyczne smugi, zdające się igrać w bezdnach przepaści. Ziemi nie było widać, ale głuchy szum morza, uderzającego o brzegi, zdradzał jej obecność, a czasami większa ryba, wyskakująca z wody, spadając tryskała płomieniem, wraz deszczem iskier ognistych, które długo jeszcze na poruszonej fali się ukazywały. Usiedliśmy w milczeniu, nie śmiejąc naszą rozmową przerywać wspaniałego spokoju, jaki nas otaczał.

Nagle na horyzoncie ukazał się po nad wodami łańcuch gór błękitnawych i poszarpanych, zniżających się szybko ku niezmiernej płaszczyźnie, od północy ku południowi się ciągnącej.

— Otóż i Arabia, — rzekł p. Durand, — dawniej kraj wonności i złota, dziś smutna i bezpłodna z powodu niedbalstwa Arabów, ale która nawet pomimo tego, tak jeszcze jest urodzajną, że krzewy bawełniane, drzewa figowe, pomarańczowe i balsamowe, które wydaje najwonniejszą żywicę, trzcina cukrowa, pszenica, najwyborniejszy tytoń i kawa najaromatyczniejsza, rosną tam bez żadnego prawie starania i trudu.

— Na nieszczęście, — podchwycił szanowny kapelan, — fanatyzm muzułmański rozwielmożnił się na tej ziemi obiecanej, gdzie ze

świętego Sinai szczytu, Bóg Prawdy i Sprawiedliwości dał Mojżeszowi prawa, któreby z ludu wybranego uczyniły największy lud na świecie, gdyby dzieci Izraela były pozostały wiernymi dziesięciu przykazaniom. Po tych to równinach, przez całych lat czterdzieści błądzili Izraelici, nim doszli do ziemi obiecanej; w tych piasczystych pustyniach Pan ich posilał manną niebieską, wody gorzkie w słodkie przemieniał, łaskami swemi obsypywał, za które ciągłą odpłacali się niewdzięcznością. Jednakże długie mijały wieki i Arabia ziemią obiecaną pozostawała, aż nadszedł dzień, w którym bułat muzułmański strumienie krwi w niej wytoczył. Pod tem panowaniem miecza dźwignęły się nowe państwa, które nie były bez sławy: Mekka, dla której Dieddah portem służy; Medyna, miasto święte; Mokka, ojczyzna kawy nie mającej równej sobie, oraz inne miasta świeciły swą potęgą lub bogactwami. Dziś, z tego wszystkiego cóż zostało? kraj opustoszony i wyniszczony fanatyzmem i rozbojami, miasto takie jak Mekka, które się stało posępną stolicą cholery, ogniskiem strasznej zarazy, podtrzymywanej tysiącami ofiar, które co roku fanatyzm i przesąd tak morduje, których zgnilizna, żarem słońca rozwinięta, rodzi owe trujące miazmaty, a wiatry z Azyi do Afryki, z Afryki do Europy je przenoszą.

Podczas tej rozmowy, „Błyskawica“ tak się zbliżyła do brzegu, że mogliśmy widzieć długą linię czarną, zdającą się poruszać równolegle z nami.

Nie byłbym jednak zwrócił uwagi na nią, gdyby kilkanaście nagłych wystrzałów nie zmusiło mnie spojrzeć w tamtą stronę.

— Otóż i karawana kupców, — rzekł do mnie p. Durand, — podróżująca nocami według zwyczaju, na którą rabusie, lub dzikie zwierzęta napadają. Słyszysz, jak wściekle psy ujadają? Handel nie jest bezpieczny w tych stronach, to też kupcy nie puszczają się przez pustynię, jak tylko w znacznem towarzystwie i dobrze uzbrojeni. Ci musieli nakupić kawy w Mokka i nie mają ochoty dać się zrabować.

Gdy na drugi dzień przebudziłem się, p. Durand stał przy mnie, a ja zerwawszy się zapytałem:

— Gdzie jesteśmy, łaskawy panie?

— Na morzu Omana, niedaleko Adenu, — odpowiedział, — nigdy „Błyskawica“ nie była w takiem, jakie przebyła niebezpieczeństwie...

(d. c. n.)



Zasłużona wielce instytucya.

Istniejące w Warszawie od lat blizko stu, gdyż od roku 1815 Towarzystwo Dobroczynności, powstało ongi, dzięki zabiegom Józefa Kossakowskiego, podczaszego kowieńskiego, na wzór i podobieństwo takiegoż Towarzystwa w Wilnie, gdzie je założono już w r. 1807, czyli o lat 8 wcześniej, niż w Warszawie.

Wileńskie Towarzystwo Dobroczynności, obok sławnej Wszechnicy tutejszej, zamkniętej, jak wiadomo, w r. 1832, należy do instytucji krajowi naszemu najbardziej zasłużonej i to pod wieloma względami. Nie przesadzę ani trochę, gdy powiem, iż równie chwalebnych instytucyi Polska posiadała i posiada niesłychanie mało. Twórcą tego stowarzyszenia wiekopomnego był ksiądz Nepomucen Kossakowski, biskup wileński, następca bezpośredni ks. biskupa Ignacego Massalskiego, powieszonego w r. 1798 w Wilnie. Ks. biskup Kossakowski był bratem rodzonym podczaszego Józefa i słynął z krasomóstwa i swych gorących kazań: „O miłości ojczyzny“ i „O zachowaniu praw narodowych“. Wzory dla stowarzyszenia dobroczynnego w Wilnie przywiózł z zagranicy, gdzie się przyglądał przez czas długi organizacyi wielu takich instytucyi.

Wielkie dzieło naszego pasterza zostało uwieńczone tem lepszym skutkiem, iż znalazło poparcie ze strony d-ra Józefa Franka, profesora uniwersytetu wileńskiego, człowieka również zasług ogromnych, założyciela pierwszego w Polsce Towarzystwa lekarskiego. Gdy narazie brakło środków na pierwsze potrzeby Towarzystwa Dobr., prof. Frank zastosował nowy, nieznany przedtem u nas sposób wypełnienia pustej kasy; mianowicie — urządzanie koncertów, a potem i widowisk teatralnych (Teatr Narodowy), z których dochód obracano na cele dobro-

czynne i które obecnie posiadają w Polsce tak szerokie zastosowanie. Do uświetnienia koncertów dzielnie dopomagała profesorowi jego małżonka, włoszka, znana wtedy śpiewaczka.

Cele i zadania Tow. Dobr. w Wilnie założyciele określili takim sposobem: 1) opatrywać pierwsze potrzeby życia, nie mającym na ich zaspokojenie sposobu, 2) obmyślać zarobek ubogim, którzy mogą jeszcze pracować, 3) zapewniać sierotom sposób wychowania i uczciwego życia, któreby z nędzy, próżniactwa i rozpusty ginęły, 4) jednać powaśnionych i dawać pomoc uciśnionym w pieniactwie, 5) ratować ubogich w chorobie, 6) wreszcie szukać nieszczęśliwych i nieść im radę, pomoc i pociechę. Towarzystwo posiadło odrazu trzy wydziały: wydział *stałej* pomocy biedakom nieletnim i dorosłym, wydział wsparcia *czasowego* i wydział ratowania *chorych*, którym zarządzał niepodzielnie sam profesor Frank.

Instytucya dobroczynna wileńska liczyła z początku w swem gronie zaledwie kilkunastu członków, lecz wśród nich większość najznakomitszych ludzi ówczesnych z Tadeuszem Czackim i Adamem Czartoryskim, księciem-kuratorem na czele. Najbardziej przyczynił się do utrwalenia bytu materyalnego Tow. Dobr. książę Dominik Radziwiłł, jeden z najbogatszych naszych magnatów ówczesnych, ordynat Nieświeski i Ołycki, podkomorzyc.

W odpowiedzi na propozycyę ks. biskupa Kossakowskiego, synowiec księcia Panie Kochanku ofiarował na rzecz nowej instytucyi olbrzymie place, tudzież mury historyczne „Pałac Januszowski“, dziedzictwo ongi rodu możnego Kiszków. Była to właściwie rudera — mury zniszczone podczas najazdu Szwedów za króla Augusta II-go, na początku wieku XVIII. Po zburzeniu tych starych murów, Towarz. Dobroczynności wzniosło nowe budowle, które istnieją dotąd i mieszczą wszystkie zakłady Towarzystwa.

W odpowiedzi księdzu-biskupowi, ks. Radziwiłł, wnet po obdarzeniu Tow. tą olbrzymią nieruchomością, zapisał się w poczet jego członków, oświadczając, iż „najgorętszą pała chęcią należeć do tak chwalebnego dzieła“. „Przyjmując mnie do swego grona — pisał dalej ks. Dominik Radziwiłł — Tow. przyśpieszyło dla mnie moment ukontentowania, wskazując mi środki stania się użytecznym“.

Za przykładem Tow. Dobr. w Wilnie powstał niebawem w naszym kraju cały szereg takich instytucyi; w Brześciu Litewskim, gdzie utworzenie Tow. Dobr. przyśpieszył olbrzymi pożar w r. 1809 i spowodował potrzebę ratunku, w Nowogródku, w Mińsku Litewskim, w r. 1815 — w Warszawie, wreszcie w Grodnie (r. 1819).

W Mińsku Lit. Tow. Dobr. założył ks. biskup Dederko, pierwszy

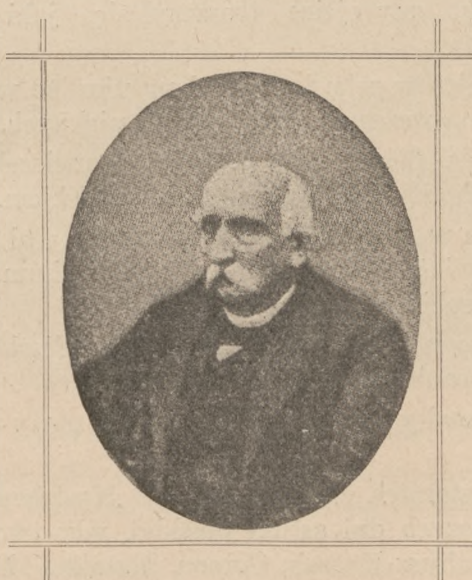
biskup świeżo utworzonej w r. 1803 dyecezyi Mińskiej, obecnie już nieistniejącej, skasowanej w r. 1864, przed zgonem jeszcze ostatniego jej biskupa, ks. Wojtkiewicza.

Towarzystwo Dobr. wileńskie nietylko samo było pierwsze w całym naszym kraju, lecz utworzyło cały szereg przeróżnych instytucyi, wielce pożytecznych, które służyły później za wzór takim samym urządzeniom w innych naszych miastach.

Mało np. komu wiadomo, że przy wydziale lekarskim Tow. Dobr. w Wilnie prof. Frank założył w maju 1808 roku pierwszy u nas instytut szczepienia ospy, czyli jak wtedy nazywano — instytut waksynacyi. Dzień otwarcia tego arcypożytecznego instytutu obchodzono w gmachu uniwersytetu bardzo uroczyście. Cały obchód wspaniały opisał prof. Frank w swych ciekawych pamiętnikach, które dotąd nie zostały, niestety, wydane i pozostają w rękopisie, lubo zawierają szczegóły znamienne z życia i stosunków naszych spółczesnych.

Ś. p. Eugeniusz ks. Lubomirski.

W rezydencyi swej, Kruszynie, zmarł Eugeniusz ks. Lubomirski, głowa jednego z najznakomitszych rodów polskich. Syn Eugeniusza,



Ś. p. Eugeniusz ks. Lubomirski.

dziedzica Dubrowny i Maryi z hrabiów Czackich, córki słynnego uczonego, urodził się w r. 1825. Ukończywszy studya wyższe, poślubił w roku 1850 Krystynę ks. Lubomirską, a po jej śmierci, która w rok nastą-

piła, pojął za małżonkę w r. 1859 Różę z hr. Zamoyskich, córkę hr. Andrzeja z Jadowa, prezesa Towarzystwa Rolniczego i ministra spraw wewnętrznych, oraz Róży z hr. Potockich. Osiadłszy na roli, Eugeniusz ks. Lubomirski pozostał jej wiernym do zgonu, prowadząc gospodarstwo wzorowo, pomnażając magnacką fortunę i wywierając przykładem swoim wpływ dodatni. Słynął z dobroci, uczynności i przystępności. Osierocił liczne rodzeństwo, a mianowicie: ks. ks. Stefana, Władysława, Konstantego i Stanisława, oraz Maryę hr. Tyszkiewiczową. Pozostawił okazałą fortunę: Kruszynę i Widzew, w gubernii piotrkowskiej, Dubrownę w gubernii mohylowskiej, Niegoszewice i Aleksandrowice w Galicyi, oraz domy w Krakowie.

Ś. p. Franciszek Kostrzewski.

Sędziwy nestor polskiego malarstwa, a przedewszystkiem niepoównany rysownik-humorysta — Franciszek Kostrzewski zgasł w Warszawie w ośmdziesiątym roku pracowitego i zasłużonego dla sztuki polskiej żywota.

— Ja muszę być malarzem! — zawołał z uniesieniem w młodzieńczych swych latach, gdy ojciec troszczył się, jaki zawód dla syna wybrać.

I ucałował ojca w rękę i wymógł na nim, że wysłał go do Warszawy, na naukę do ówczesnej Szkoły sztuk pięknych.

Było to w roku 1844 i od tej pory już Franciszek Kostrzewski nie rozstał się ani na chwilę z paletą, pędzlem i ołówkiem.

Przedmiotem umiłowanym jego twórczości stał się przedewszystkiem lud polski i wieś polska. Jako rysownik-humorysta nie miał w Polsce równego sobie.

„Dowcip jego utworów — pisze Henryk Piątkowski — nie wybiega nigdy poza granice geograficzne kraju“.

Ogół polski znał go, cenił, kochał; każdy nowy utwór jego z upodobaniem oglądał.

To też do ostatnich chwil życia, był Kostrzewski dla młodych żywą tradycyą lepszych dni sztuki polskiej, gdy tworzyli obok niego tacy mistrze, jak Juliusz Kossak, Gerson, Matejko. Polskie niebo, polskie pole, polski strumień, kościołek, dworek lub chatę niewielu umiało tak odmalować, jak zmarły mistrz, nieprędko też zapewne zjawi się na horyzoncie sztuki polskiej, talent równej miary, serce tak gorąco kochające kraj ojczysty i sztukę polską.

Niezwykły przyjaciel dzieci.

Zmarły niedawno w Dreźnie kapitalista Krenkel zapisał miastu 300,000 marek na wybudowanie tanich mieszkań dla robotników z liczną rodziną. Z fundacyi tej wystawiło Drezno na przedmieściu Neuslitz trzy schludne domy po 10 mieszkań, w których za 250 marek rocznego komornego otrzymuje lokator trzy pokoiki, kuchnię, balkon, ubikacye poboczne, wspólne używanie kąpieli, pralni, maglowni i mały ogródek. Reflektantów na te mieszkania było naturalnie bardzo wielu, ale wybrano tylko takich, którzy mają sześcioro lub więcej dzieci. Od 1-go lipca r. b. zamieszkuje te domy 30 rodzin ze 181 dziećmi.



Kompania z Liskowa z ks. Bliźińskim na czele u stóp Jasnej Góry.

O kompanii tej, przybyłej we wzorowym porządku i o parafii, z której przybyła, podamy w przyszłym tomie naszego pisma obszerniejszą wiadomość.

Biskup germanizator.

Pamiętne są jeszcze wszystkim germanofilskie występy wrocławskiego biskupa Koppa i jego walka nieubłagana z redaktorem i posłem polskim, Korfantym. Zdawało się jednak w ostatnich latach, że ks. biskup Kopp uspokoił się trochę. Jego akcya zaczepna osłabła, co jedni przypisywali wpływom Rzymu, inni wpływom partyi centrowej.

Aliści biskup wrocławski, wypocząwszy trochę, zabiera się znowu do walki z Polakami górnośląskimi. Niemal jednocześnie bowiem wystąpił on przeciw zaprowadzeniu nowych nabożeństw polskich w kościele i przeciw uczestniczeniu księży w agitacyi wyborczej „bez specyalnego zezwolenia" władzy biskupiej. Znaczy to, oczywiście, że zezwolenie otrzymają tylko księża, przejęci duchem niemieckim, księża-Polacy natomiast usłyszą odpowiedź: „Nie wolno".

Z powodu pierwszego z dwóch ukazów biskupich, wymierzonych przeciw zaprowadzeniu nowych nabożeństw polskich w kościołach górnośląskich, przypomina katowicka „Gazeta ludowa", że zarówno na synodzie w Tours (1231 r.), jak na powszechnym trydenckim uchwalono, aby duszpasterzem nie był nikt, kto nie rozumie języka miejscowego i aby proboszczowie w języku ojczystym lud nauczali. Dalej zaś pisze:

„Po trzy razy św. synod trydencki przypomina język ojczysty, każe naukę o Sakramentach św. wykładać ludowi w języku ojczystym, każe przekładać katechizm na język ojczysty, każe miewać kazania w języku ojczystym, a chociaż nie mówi o pieśni kościelnej, to samo przez się rozumie się, że i te pieśni kościelne, jako wyjaśniające prawdy Chrystusa — tylko w ojczystym języku śpiewane być powinny.

A co robią nasi księża? Germanizują! Niemczą! Jakże tedy usprawiedliwią się przed własnem sumieniem, a przed Bogiem zdadzą rachunek ci księża, którzy ludowi polskiemu odbierają mowę ojczystą, którzy nam, Polakom, za nasze wielkie ofiary na cele kościelne narzucają kazania niemieckie, którzy wyrzucają z kościołów pieśń polską, a zaprowadzają pieśni niemieckie lub łacińskie?

Papież Benedykt XIV, wydając przepisy co do składania egzaminu proboszczowskiego w konstytucyi „Quum illud" w d. 14 grudnia 1742 r. przepisuje, „aby kandydat na stawiane pytania odpowiadał piśmiennie po łacinie, a kazanie aby wypracował w tym języku, w którym do ludu kazać będzie" (sermonem vero ea, qua ad populum solet haberi lingua).

A iluż to mamy na Śląsku księży, co nie znają języka polskiego!..

W religijnem kształceniu ludu polskiego, śpiew jest wielkim czynnikiem, mogącym w piersi ludu zachować znajomość i przywiązanie do wiary nawet w czasach najsroższego utrapienia i prześladowania. Chłop polski może nie umie czytać, ale gdy ze słuchu nauczy się swoich pieśni kościelnych, to w duszy jego silniej drgają tętna religijnych uczuć, niż u wykształconych wiernych innych narodów.

I ten rozmiłowany w świętej pieśni swojej i w polskich nabożeństwach lud polski chcieliby różni karyerowicze pozbawić tego drogiego skarbu! Takie jednostki, które niezdolne są odczuć uczuć chłopa pol-

skiego, które łamią przepisy najwyższej władzy kościelnej, podkopują powagę Kościoła katolickiego i popychają lud polski w objęcia protestantyzmu".

„Są sędziowie w Berlinie".

W swoim czasie donosiliśmy, iż księdza Kubskiego, ks. Skoniecznego i red. Błażaka skazano na kary pieniężne za wygłoszenie w Gnieźnie odczytów o Matejce i Wyspiańskim. Skazani odwołali się do Izby karnej, ale ta wyrok zatwierdziła wbrew orzeczeniu najwyższego sądu administracyjnego, który stwierdził, że odczyty z dziedziny sztuki nie mają nic wspólnego z tak zwanym „paragrafem kagańcowym" i ustawą o Stowarzyszeniach. Izba karna przytacza na poparcie swego wyroku, że zebrani na odczycie „byli to Polacy, którzy chcieli się budować wzorami wielkich swoich mężów i ich dzieł i, którzy jednocześnie przez swoją obecność i wysłuchanie wykładów, chcieli uwydatnić swoją solidarność, jako Polacy, i którzy też ją uwydatnili". Logika iście pruska!...

Prasa żydowska w Galicyi.

Prócz dziennika żydowskiego „Tagblatt", organu partyi syonistycznej, istniejącego od lat ośmiu w Krakowie, wychodzi dziennik żargonowy „Tag", organ p. Loewensteina i jego grupy. Nadto powstał w Sanoku tygodnik „Der Volksfreund", popularne pisemko, rozszerzone zwłaszcza we wschodniej części kraju, a w Nowym Sączu „Sanzer Zeitung", przeznaczone dla miasteczek zachodniej Galicyi. W Rzeszowie wydają syoniści od lat kilku „Volkszeitung", a od czasu ostatnich wyborów także stanisławowscy syoniści założyli własny swój organ p. t. „Der Jud" (Żyd). W Krakowie wychodzi „Żydowska gazeta ilustrowana", tygodnik w stylu niemieckich pism ilustrowanych, a w Brodach syoniści wydają tygodnik żargonowy „Haiwri". Robotnicza partya syońska Poale-syon posiada tygodnik „Der jüd. Arbeiter". W języku hebrajskim wychodzi w Krakowie syonistyczny tygodnik „Hamicpe", a zapowiedziane jest wydawnictwo nowego dziennika hebrajskiego „Bas kol". Partya syonistyczna posiada oprócz tego w języku polskim następujące wydawnictwa: „Wschód" (tygodnik), „Moriach" (miesięcznik dla młodzieży), „Haszachar" (dwutygodnik dla dzieci) i „Słowo żydowskie" (pismo tarnopolskich syonistów). Daty te wskazują, że syoniści zaczynają coraz intensywniejszą propagandę, aby przez prasę oddziaływać na masy żydowskie w Galicyi.

Ciemnota.

Czytamy w dziennikach włoskich o groźnych rozruchach w zapadłem miasteczku włoskiem Verbicaro. Ciemna ludność, nierozumiejąca zarządzeń sanitarnych z powodu cholery i ogarnięta strachem przed lekarzami „trującymi“ chorych, rzuciła się na urząd miejski, podpaliła ratusz, zamordowała sekretarza magistratu. Dopiero sprowadzeni licznie karabinierzy zdołali przywrócić porządek.

Do miasteczka, które nabrało tak smutnej sławy, pojechali sprawozdawcy pism włoskich. Ich relacye odsłaniają kącik średniowiecza, który zachował się, pomimo 50-letniej pracy kulturalnej Włoch zjednoczonych.

Zbierając straszne szczegóły z niedoli — powiada znany dziennikarz Barzini — rozmawiając z tą naiwną i ciemną ludnością, otrzymamy obraz nędzy i zaniedbania tak jaskrawy, że rozruchy wtedy stają się czemś bardzo zwyczajnem. Spostrzegamy, że dziesięć czy dwadzieścia innych wsi ma tę samą duszę co Verbicaro, że całe te okolice pogrążone są w mrokach umysłowych. Uboga ludność znacznej części Włoch staje się nam nagle tak odmienna, jak gdyby należała do innej rasy i odległych czasów.

Wypadki w Verbicaro uważane są w gminach sąsiednich, jako przykład, godny naśladowania. Mieszkańcy Grisolyi, gdzie niema jeszcze cholery, odgrażają się głośno i ostrzą siekiery na „trucicieli ludu“ w razie wybuchu epidemii. W Scalca, gdzie już jest cholera, przyszło do urzędnika kilka kobiet i mówiło błagalnie: „Ekscelencyo, dajcie nam antidotum, nie pozwólcie nam umrzeć“. Urzędnicy uspakajali biedne kobiety, ale jedna z nich odparła: „Daliście odtrutkę pewnej dziewczynie, bo jest taka piękna, ale my musimy umrzeć“.

Idąc stromą ścieżką, zatrzymaliśmy się przed chatą, prosząc o wodę. Młoda kobieta podała nam dzbanek o kształtach klasycznych i powiedziała tonem uspokajającym: „Pijcie bez obawy, woda nie jest zatruta“. Zapytuję: „A więc wierzycie w truciznę?“ — a kobieta odpowiada: „Jakżeby nie? Rząd rozdaje truciznę. Rozesłał ludzi, którzy leczyć mają mieszkańców, a trują ubogich, bo ich jest za wielu“. Tak mówią i myślą wszyscy.

Cała prawie ludność uciekła z Verbicaro, zabrawszy z sobą chorych na cholerę, których teraz władze sanitarne nie mogą znaleźć. Po wąskich ulicach Verbicaro chodzą karabinierzy, żołnierze i lekarze wojskowi. Z sześciu tysięcy mieszkańców pozostało zaledwie kilkuset, zamknąwszy się w domach. Nie słychać głosu ludzkiego. Zapytujemy poganiacza, gdzie są mężczyźni, i dowiadujemy się, że uciekli do lasu. Władze rozkazały uwięzić 45 osób, ale zdołano uwięzić zaledwie kilka,

ludność bowiem uciekła, chorych zabrała, a trupy zostawiła na ulicach. Posypane wapnem ulice odbijają jaskrawo od poczerniałych domów, które stoją tak blisko naprzeciw siebie, że rozkrzyżowawszy ręce, można dotykać się murów po obu stronach. Nierogacizna i kury wyległy na ulice.

Przed domem gminnym są jeszcze ślady scen niedzielnych. Duże kamienie oznaczają miejsce, gdzie ukamienowany został urzędnik miejski Amoroso. Pracował przy spisie ludności, miał dozór nad odkażaniem i donosił władzom o wypadkach cholery. Uważano go za głównego winowajcę. W krytycznym dniu zabrzmiały dzwony, a tłum oszalały z trwogi, a zarazem pragnienia zemsty, pochwycił go i zamordował.

Lekarze wojskowi chodzą od domu do domu i leczą chorych, których jednakże jest niewielu z powodu masowej ucieczki. Verbicaro pogrążone jest jakby we śnie. Ci, którzy tutaj pozostali, i ci, którzy stąd uciekli, są święcie przekonani, że rząd truje ubogich. Tego im z głowy nikt nie wybije.

W tych górach każda wieś żyje dla siebie. Teraz, w czasie cholery, walczą z sobą, jak wrogowie. Każda wieś boi się zawleczenia zarazy. Gdy dwie kobiety z Verbicaro zbliżyły się do sąsiedniej wsi Scalca, zostały obrzucone kamieniami i musiały ratować się ucieczką. Gdy ludność pewnej wsi podejrzywa, że pośród niej znajduje się jakiś obcy, natychmiast wzywa dzwonami mieszkańców, którzy przybiegają uzbrojeni i robią poszukiwania intruza. Biada mu, jeżeli dostanie się w ręce tłumu. Zupełnie, jeżeli nie gorzej, jak w średnich wiekach.

Zakon Jezuitów.

Z początkiem 1910 r. zakon jezuicki był podzielony na 5 asystencyi. Asystencya włoska posiadała pięć prowincyi, z których było 817 kapłanów, 427 scholastyków i 411 braci. Asystencya niemiecka obejmuje sześć prowincyi, a mianowicie: austryacką i belgijską z 1,194 członków, galicyjską z 491 członkami, niemiecką z 1,150 członkami, węgierską z 182 członkami i niderlandzką z 541 członkami, czyli razem 4,132 członków, a z tych 1,998 kapłanów, 1,053 scholastyków, 1,071 braci. Asystencya francuska miała cztery prowincye z 3,090 członkami, a mianowicie: 1,753 kapłanów, 608 scholastyków i 639 braci. Asystencya hiszpańska miała pięć prowincyi z 3,727 członkami, a z tych 1576 kapłanów, 996 scholastyków i 1,183 braci. Asystencya angielska miała 3,692 członków: z tych 1,705 kapłanów, 1,241 scholastyków i 746 braci. Cały zakon jezuicki liczył na początku 1910 r. 16,283 członków, z tych było 7,848 kapłanów, 4,385 scholastyków i 4,060 braci. W ciągu jednego roku, t. j. 1910

przybyło 134 członków; scholastyków ubyło 31, kapłanów przybyło 120 i braci 45. Na polu misyonarskiem pracowało 3,272, a mianowicie: 1,953 kapłanów, 445 scholastyków i 884 braci. Co do poszczególnych części świata, to w Europie pracowało 114 członków, w Afryce 373, w Azyi 1,174, na wyspach oceanowych 328, w Północnej Ameryce 310 i w Południowej Ameryce 973.



Kompania z Kielc z księdzem L. Kowalewskim na czele u stóp Jasnej Góry.

Kompania ta przybyła w święto Narodzenia Matki Boskiej we wzorowym porządku w liczbie 657 pątników, serdecznie witana w Częstochowie.

Misye w Ugandzie.

Sodalicya św. Piotra Klawera *) otrzymała od ks. Biskupa Geyera, wikaryusza apostolskiego egipskiego Sudanu następujące wiadomości o misyach w Ugandzie. Spostrzeżenia niniejsze są tem więcej wiarogodne, że się nie odnoszą do wyników własnej, lecz cudzej pracy.

„Podróż do Ugandy była dla mnie „zdarzeniem". To, co widziałem na własne oczy, przeszło wszystkie opowiadania, które o tym kraju

*) Organem Sodalicyi jest miesięcznik „Echo z Afryki". Prenumerata roczna 1 kor. 50 hal. = 1 mk. 50 fen. = 1 rb = 60 ct. amer. Administracya: Kraków, ul. św. Anny 4.

czytałem i słyszałem. Kraj i ludzie między jeziorem Alberta i Wiktoryi są zapewne najbardziej ubłogosławione w całej Afryce, w każdym razie nie widziałem tu dotychczas ani tak miłego kraju, ani tak religijnej ludności. W dziesięciu stacyach misyjnych, prowadzonych przez podziwu godnych Ojców Białych i w Villa Maria, gdzie miałem odwiedzić ks. Biskupa Streichera, doznałem prawdziwie braterskiego przyjęcia. Wogóle widziałem Ojców Białych po raz pierwszy w życiu. Kardynał Lavigerie musiał być człowiekiem wielkiego ducha i wielkiego serca, widać to w jego duchownych synach. Religijność mieszkańców wprawia mnie w zdumienie. Tysiące czarnych chrześcijan i katechumenów, kościoły zapełnione nawróconymi, codziennie setki komunikujących, tak, że jeden z kapłanów pomagał mi przy rozdzielaniu Komunii św., konfesyonały otoczone codzień, ludzie czekają godzinami aż na nich kolej przyjdzie...

Uganda nie należy do mego wikaryatu, ale cieszyłem się niezmiernie tymi objawami, były mi one niejako pobudką i zachętą na drodze mego powołania. Wrażenie, jakie odniosłem, pozostanie mi na zawsze w pamięci, tem bardziej, że z chwilą, kiedy się ten kraj opuszcza, widzi się znowu przed sobą Afrykę taką, jaką ja ją znam. Czyż nie widoczna w tem ręka Opatrzności, że ten lud religijny Bagandów zajmuje sam środek Afryki? Co do mnie, spodziewam się, że katoliccy Bagandowie, wychowani przez Ojców Białych, dopomogą mi w nawracaniu wielojęzycznych szczepów, powierzonych naszej pieczy. I one przejdą w przyszłości na łono chrześcijaństwa, to rzecz pewna, ale jeszcze nie prędko. Ks. Biskup Streicher oświadczył z wielkodusznością iście apostolską, iż dostarczy mi katechistów ze swego wikaryatu.

Odwiedziłem jeszcze potem ks. Biskupa Hanlona w Noambii, który ma także między dyecezyanami owych dzielnych Bagandów, następnie ks. Biskupa Clarka w Adenie, od którego usłyszałem wiele szczegółów o zajściach w kraju Somali. Po pięciomiesięcznej nieobecności wróciłem do Chartum napojony wrażeniami i wspomnieniami".

Ustawa imigracyjna w Australji.

Wychodźtwo polskie do Australii nie płynie taką falą, jak do Ameryki Północnej, ani nawet takim strumykiem, jak do Parany. Pomimo to, rodacy nasi, szukający chleba na odległym, piątym kontynencie, nie są rzadkością. Wobec tego mogą zainteresować niejednego z czytelników naszych nowe przepisy imigracyjne, wydane w r. 1900 dla wszystkich kolonii, należących do Związku Australijskiego.

Imigracya do Związku Australijskiego jest zabroniona osobom niepożądanym („prohibited immigrants"), a mianowicie:

1) tym imigrantom, którzy mogliby stać się ciężarem dla dobroczynności publicznej lub prywatnej;

2) umysłowo chorym;

3) idyotom;

4) osobom, cierpiącym na zaraźliwe lub obrzydzenie wzbudzające choroby;

5) przestępcom (nie politycznym), karanym aresztem rocznym lub dłużej, którzy kary tej jeszcze nie odbyli;

6) osobom, oddającym się nierządowi i utrzymującym się z prostytucyi;

7) osobom, nieumiejącym napisać 50 słów w dowolnym języku pod dyktandem urzędnika imigracyjnego.

Imigranci, przybywający do Australii wbrew powyższym przepisom, podpadają karze aresztu do 6 miesięcy i deportacyi. Także komendant okrętu, właściciel tegoż, albo agent, przy których pomocy niepożądany imigrant wyląduje, podlega karze, a mianowicie za każdego imigranta grzywnie po 100 funtów sterlingów; kara ta dotyczy naturalnie także przemyconych imigrantów.

Imigranci, nie posiadający obywatelstwa angielskiego, a zasądzeni za zbrodnię gwałtu, będą, po odbyciu kary, poddani egzaminowi z języka angielskiego, a w razie nie zdania tegoż, nastąpi deportacya, podobnie, jak w innych wypadkach niepożądanej imigracyi.

Dozwolone jest lądowanie robotnikom na podstawie kontraktu pracy tylko w tym wypadku, jeżeli robotnicy z pracodawcą, zamieszkałym w Australii, zawarli kontrakt na piśmie, zatwierdzony przez ministra spraw zagranicznych. Minister jednak jest upoważniony tylko wtedy zatwierdzić taki kontrakt, jeżeli ten odpowiada stosunkom, panującym na rynku pracy w Australii, następnie, jeżeli zachodzi trudność w wynalezieniu na miejscu robotników o odpowiednich kwalifikacyach, a w końcu, o ile umówione w kontrakcie wynagrodzenie równa się zwykłym płacom robotników australijskich. W razie, gdyby robotnik kontraktowy przyjął pracę na podstawie umowy, niezatwierdzonej przez ministra, natenczas umowa taka traci znaczenie, a tak pracodawca, jak i robotnik, podlegają grzywnie.

Wiadomości polityczne.

Senator Trusiewicz.

Dochodzenie w sprawie działalności urzędu żandarmów w Kijowie, wszczęte z Najwyższego rozkazu po zabójstwie ministra Stołypina, prowadzi senator Trusiewicz. Wychodzą na jaw rzeczy straszne. Gazety rosyjskie piszą, że jest podejrzenie, iż urząd ten w ostatnich latach za naczelnika Kulabki, sam popierał różne napady zbrojne w mieście, aby potem wykrywać ich uczestników i dostawać za to nagrody i pochwały od swej zwierzchności, a zarazem utrzymywać wyższe władze w Petersburgu w mniemaniu, że działalność tego urzędu jest koniecznie potrzebna dla utrzymania porządku w Kijowie.

Wojna Włochów z Turkami.

Niespodziewanie wybuchła wojna Włoch z Turkami. Miasto Trypolis na brzegu Afryki zajęte już zostało przez Włochów. Stało się to we czwartek, 5 października. Po strzelaninie z okrętów włoskich we wtorek i środę, wojsko tureckie w Trypolisie przekonało się, że nie zdoła obronić miasta. Okręty włoskie pod dowództwem admirała Farabelego stały na morzu o półtorej przeszło mili od brzegu, a mimo to strzały z ich potężnych armat dolatywały do fortów tuerckich, czyniąc w nich znaczne szkody i zabijając ludzi. Turcy odpowiadali ze swoich armat, ale strzały ich niosły zaledwo kilka wiorst i pociski wpadały w morze, nie czyniąc żadnej szkody Włochom. Widząc to, Turcy postanowili nie narażać życia i mienia mieszkańców miasta i dobrowolnie oddać je w ręce nieprzyjaciela. Zabrali tedy we środę z warowni wszystko, co było można, odjęli zamki od armat fortecznych, żeby armaty były niezdatne do użytku, zatopili w przystani statek swój, nie chcąc go odddać Włochom, i wyprowadzili wojsko swoje w pole, daleko za miasto. Włosi walili jeszcze z armat we czwartek, ale już do pustej, jak się okazało, warowni. Dowiedziawszy się zaś o wyjściu Turków, podpłynęli bliżej do brzegu i wojsko ich wysłane z okrętów łodziami pod dowództwem kapitana Cenjego wysiadło na brzeg w kilku miej-

scach. Wojsko to zajęło wnet zamek turecki i wywiesiło na nim włoską chorągiew. Pokazało się, że tylko dwa forty zostały zniszczone. W warowni znaleziono 20 trupów żołnierzy tureckich i 23 żołnierzy ciężko ranionych. Rząd włoski ogłasza, że po zajęciu miasta przybyli na okręty wysłańcy od arabskiej ludności Trypolisu i w jej imieniu poddali się pod panowanie Włochów, prosząc, aby nie czyniono żadnej krzywdy mieszkańcom. Włosi objęli zaraz zarząd miasta. Podadmirał Borea Dolmo mianowany został gubernatorem Trypolisu, a jego zastępcą Włosi mianowali burmistrza miasta, Araba Masunę. Gubernator włoski Trypolisu rozkazał odebrać ludności miasta wszystką broń, którą ma u siebie. W piątek, 6-go października odbył się w Trypolisie pogrzeb 20-tu żołnierzy tureckich, poległych w warowni. Ranionych Turków Włosi zabrali na okręt szpitalny.

Wojsko tureckie z Trypolisu odeszło w góry, daleko od miasta, i zamierza tam bronić się. Siła ta podobno składa się z 17-tu batalionów piechoty, 60-ciu szwadronów jazdy i 36-ciu armat. Jazda turecka urządza wywiady, zapędzając się pod samo miasto. Niełatwo będzie Włochom zwalczyć tę siłę, zwłaszcza, jeśli do Turków przyłączą się wojownicy arabscy. Rząd włoski zamierza posłać do Trypolisu 45 tysięcy wojska,

Włosi zajęli już całe wybrzeże krainy Trypolisu i Cyrenajki. W miastach Bengazi i Dernie, gdzie Turcy usilnie opierali się Włochom, są podobno znaczne szkody od strzałów z okrętów włoskich.

Okręty wojenne włoskie niezajęte u brzegów Trypolisu i Cyrenajki uganiają się po morzu Śródziemnem za okrętami tureckimi. Część ich pod dowództwem księcia Abruzów krąży po morzu Jońskiem i Adryatyckiem wzdłuż brzegów Albanii. W przystani Prewezie, koło granicy Albanii i Grecyi, stało w chwili wybuchu wojny 7 statków wojennych tureckich. Cztery z nich Włosi już zniszczyli, a na trzy pozostałe polują, pilnując ich, aby nie wyszły z przystani na morze. W piątek, 6-go października zrana Turcy zaczęli strzelać z fortów w Medui, na brzegu Albanii, do przepływającego w pobliżu okrętu włoskiego handlowego. Wziął go w obronę statek przeciwbuchadłowy włoski, znajdujący się w pobliżu, i zaczął strzelać do fortów i do miasta Medui, ale sam został uszkodzony od strzałów tureckich, a jego dowódca raniony w nogę. Wkrótce pod Meduę podpłynęły dwa okręty wojenne włoskie i przez jakiś czas waliły z armat do tego miasta.

W przystani miasta Portu-Saidu u wejścia do przekopu Suezkiego, który łączy drogą wodną morze Śródziemne z Czerwonem, ukrył się po wybuchu wojny statek buchadłowy turecki. Włosi żądają, żeby Anglicy, którzy są panami przepływu Suezkiego, nie pozwolili mu ukry-

wać się w tej przystani. Dnia 1-go października kilka okrętów wojennych włoskich na morzu Czerwonem podpłynęło pod miasto Chodejdę w Arabii, gdzie panują Turcy. Wojsko tureckie zaczęło strzelać do Włochów z fortów nadbrzeżnych, a wtedy Włosi odpowiedzieli waleniem z armat. Strzały ich zatopiły w przystani Chodejdy statek wojenny turecki, a nadto podobno jeszcze łódź parową wraz z ludźmi, należącą do stojącego w przystani angielskiego okrętu. Na zatopionym statku tureckim zginęło 20-tu żołnierzy.

Z Bulgaryi.

Donoszą z Bulgaryi, że rząd tego królestwa gromadzi swe wojska na granicy Turcyi. Rumunia znów posunęła wojska nad rzeką Dunaj, czyli ku granicy Bulgaryi. W Serbii powołano do wojska zapasowców niby to na ćwiczenia dwumiesięczne; na granicę Turcyi wysłano 4 pułki piechoty. W Czarnogórzu powołano pod broń wszystkich zapasowców, a okręty włoskie dowożą tam broń, strzeliwo i inne zapasy wojenne. Uzbrojeni Albańczycy gromadzą się w okręgach miast Ipeku i Djakowy.

W sprawie Maroka.

Rządy francuski i niemiecki doszły już podobno po długich targach do zupełnej zgody w sprawie odstępnego, które Niemcy mają otrzymać od Francyi wzamian za zrzeczenie się wszelkich praw do Maroka. Ugoda ma być niebawem spisana.

Z Portugalii.

Rząd nowej rzeczypospolitej portugalskiej posłał silne oddziały wojska do północnych okolic kraju, zajętych przez siły stronników dawnych rządów królewskich. Na czele królewczyków stoi kapitan Paweł Konceira, a w szeregach ich walczą również obaj synowie księcia Bragancy, potomka dawnych królów portugalskich, który rości sobie prawo do królowania w Portugalii. Królewczycy rozpoczęli jednak walkę nie dla niego, lecz dla wypędzonego przed trzema laty młodego króla Manuela, który nie zaniechał myśli o powrocie jeszcze na tron utracony. Obecnie mieszka on w Anglii, gdzie odbywa narady ze swymi stronnikami. Zdaje się jednak, że siły królewczyków są za słabe do zwojowania obecnego rządu portugalskiego.

Wojska rządowe, posłane do Portugalii północnej, zajęły tam już ważniejsze miejscowości. Królewczycy, pobici w wielu miejscach, uciekają ku granicy Hiszpanii. Około pół tysiąca ich dostało się do niewoli; oddano ich pod sąd wojenny.

Mówią, że powstanie przeciwko rządowi rzeczypospolitej Portugalskiej zostało już prawie zupełnie stłumione. Podobno naczelnik królewczyków, Konceira, uciekł do Ameryki.

Z Persyi.

Książę Salar, napierany przez wojska rządowe, wyszedł z Chamadanu, mając pod sobą 6 tysięcy zbrojnego ludu. Zamierza on ustąpić do Bułudżynu, żeby zgromadzić tam większe siły.

Rząd angielski postanowił niby wzmocnić obronę konsulów swoich, urzędujących w miastach Persyi południowej. W tym celu Anglia wysyła do Persyi drogą morską dwa pułki jazdy z Indyj w Azyi. Widocznie Anglia, korzystając z nieładu i wojny domowej w Persyi, zamierza zagarnąć południową część tego kraju.

Kierownik rewolucyi chińskiej.

Wobec ogromnych rozmiarów, jakie przybiera najniespodziewaniej wybuchła wielka rewolucya w Chinach, ogólne zainteresowanie budzi osobistość, która z żelazną wytrwałością ruch ten od wielu lat przygotowywała, stała na czele wielu dawniejszych wybuchów rewolucyjnych, a która i obecnie nim kieruje. Jest to, jak wiadomo, dr. Sunjatsen, lekarz z zawodu. Anglik, dr. Cantlie, osobisty jego przyjaciel, który swego czasu ocalił go z rąk amabasady chińskiej w Londynie, która podstępem ująć go zdołała, taką nam daje charakterystykę tego najwybitniejszego wśród współczesnych rewolucyonistów chińskich bohatera.

„Niejednokrotnie śmiałem się z tego niepoprawnego marzyciela i z jego złudzeń, iż zdoła cały naród chiński zbuntować przeciwko systemowi monarchicznemu w Chinach, wskazując na to, że naród ten niejako żyje z tronu i władcę swego uważa za boga. Znosił te przycinki cierpliwie i twierdził tylko, iż chyba lepiej zna swój naród, niż my, cudzoziemcy. Oddawna już hołdował idei zastąpienia obecnej dynastyi chińskiej przez rząd republikański, oparty na wyższej i niższej Izbie parlamentarnej i na szerokiej wewnętrznej autonomii poszczególnych prowincyi, które pragnął połączyć w jedno państwo na wzór Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Dr. Sunjatsen nie żywi najmniejszej nienawiści do obcych, przeciwnie, zapewnia, że wszelkiemi siłami będzie się opiekował obcokrajowcami i obcemi wyznaniami. Jego ojciec był chrześcijaninem, on zalicza się do bezwyznaniowców, jakkolwiek, gdy jeszcze bawił u dr. Cantlie, regularnie uczęszczał do kościoła.

„Poznałem go — pisze dr. Cantlie dalej — przed wielu laty w Hongkongu, gdzie zapisał się jako słuchacz do założonego tam prze-

zemnie kolegium medycznego. Wraz z 18 kolegami utworzył tam związek rewolucyjny. Z tych 18 rewolucjonistów zginęli już wszyscy, oprócz niego. Wszyscy zaś padli gwałtowną śmiercią. Dziś dr. Sunjatsen rozporządza olbrzymiemi kapitałami, lecz skąd je otrzymał, nie wiem. On sam otacza to ścisłą tajemnicą. Wielka armia emisaryuszów roznosi jego idee po całych Chinach, on zaś twierdzi, że wśród 180,000 regularnego wojska w Chinach, niema już ani jednego żołnierza, któryby był naprawdę wierny dynatyi.

W swoich podróżach agitacyjnych po Chinach, podejmowanych nieraz z szaloną odwagą, dr. Sunjatsen niejednokrotnie w największem znajdował się niebezpieczeństwie. Z Kantonu zdołał uciec jedynie w ten sposób, że w koszu spuścił się z wysokiego muru do rzeki. Dziś na jego głowę wyznaczona jest nagroda w wysokości 800,000 rubli.

Jest to człowiek średniego wzrostu, wysoki na 5 stóp i 6 cali o typie, niebardzo przypominającym Chińczyka. Wykształcony, oczytany, odznacza się niezwykle delikatnym taktem i wielką uprzejmością, a przytem bezgraniczną niemal dobrodusznością. Przed laty zwiedził pół Europy, a przez pięć lat przebywał w Japonii. Jego żona mieszka w Honolulu na wyspach Hawajskich, jedyny jego syn studyuje w Ameryce. Kto go widział w towarzystwie, może nie przypuszczał, że ma przed sobą człowieka o żelaznej wprost energii, a kto wie — może i przyszłego prezydenta republiki chińskiej.

Jaki obrót weźmie ta wojna domowa w Chinach, trudno przewidzieć. Dziś rewolucyoniści biorą górę, zdobywając jedne miasta po drugich. Nawet olbrzymi Nanking wpadł w ich ręce.

Rozwiązanie szarady,

zamieszczonej w zeszycie Wrześniowym:

Na-u-ka.

Humor i Satyra.

Daremne strachy.

Żona (do męża powracającego późno z szynku): — Poczekaj ty pijaku, włóczęgo nocny, jak umrę, to zawsze duch mój o północy ci się zjawi!

Mąż (ze spokojem): — Daremne twoje pogróżki, bo o północy nigdy mnie w domu niema!

Dobrze przygotowani.

Dwoje młodych przyszło prosić księdza proboszcza o danie im nazajutrz ślubu, bo właśnie wyszła już ostatnia zapowiedź. Wtedy proboszcz tak mówi do narzeczonych:

— Przygotujcie się do aktu, który jest najważniejszym krokiem w całem waszem życiu; czy więc jesteście do niego przygotowani?

— Oj i jeszcze jak! — odpowiada pan młody — zabiliśmy wieprzka, cielę i dwanaście gęsi, mamy także cztery garnce okowity i beczkę piwa...

Wielkie święto.

— Cóż to, Jasiu, dziś tak wcześnie powróciłeś ze szkoły?

— U nas dziś wielkie święto.

— Jakie?

— Pan profesor umarł.

Dosłownie.

— No i na czem się wczorajsza wasza kłótnia skończyła?

— Powiedziałem jej na zakończenie, aby poszła do wszystkich dyabłów.

— A ona co na to?

— Poszła do teściowej.

Dobra rada.

— Co ja tu poradzę, moja sąsiadko, mąż mi się co dzień upija, w domu nie siedzi, tylko ciągle w szynku.

— Jest przecież rada...

— No, jaka?

— Załóżcie sobie szynk, to będzie wtedy siedział w domu!...

Sprytny Piotruś.

Matka: — Byłeś niegrzeczny, Piotrusiu, dostaniesz zaraz w skórę przynieś rózgę z sąsiedniego pokoju.

Piotruś (wraca po chwili): — Rózgi, mamo, nie znalazłem, ale za to przyniosłem ten oto słoik z konfiturami...

Dobry pan.

Żona (do służącej): — Idź, Marysiu, wrzuć ten list do najbliższej skrzynki pocztowej!

Mąż: — Cóż znowu, chcesz, by biedna Marysia biegała z czwartego piętra dla jednego marnego listu. Idź, Marysiu, wrzuć list i przynieś zarazem z restauracyi kufelek piwa!

Przezorny.

— Czy nie możesz mi powiedzieć kto jest ten pan, który idąc trotuarem przed niektóremi domami skręca w bok i przechodzi środkiem ulicy?

— To jest znany nasz budowniczy, który to czyni dla pewności, ilekroć przechodzi koło domu, który sam budował.

Wdzięczni klienci.

— Czego to panowie chcecie?

— Ja, Jędrzej Wytrych i mój kamrat, Walenty Siekiera, wyprawiamy jubileusz i przyszliśmy prosić pana adwokata.

— O cóż?

— Na ucztę jubileuszową... bo to już dwudziesty piąty rok idzie, jak pan adwokat broni nas przed sądem...

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego" upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi, Królowej Nieba i ziemi, poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty, lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski".

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego", Częstochowa, pod Jasną Górą.

NOWE KSIĄŻKI.

Swieżo wyszły z druku **„PAMIĘTNIKI"**, obejmujące okres od roku 1863 do 1908, napisane przez **Ks. Leona Postawkę** Doktora Św. Teologii Prałata Domowego Jego Świętobliwości Piusa X Rektora Misyi Polskiej w Paryżu. Paryż. **Dwa duże tomy.**

Autor tych pamiętników, będąc młodziutkim księdzem w dyecezyi Kieleckiej, zmuszony był opuścić kraj rodzinny i zamieszkał w Paryżu, gdzie jako dobry Polak gorąco zawsze bierze do serca wszystkie sprawy dotyczące ojczystego kraju i otacza serdeczną opieką braci Polaków na obczyźnie. Z wielką prostotą ale pięknym językiem i nadzwyczaj zajmująco opisane są przez ks. Postawkę wspomnienia z jego życia, w którem los dał mu sposobność kilkakrotnie odegrać pewną rolę tak w Polsce w smutnych i bolesnych przejściach 1863 r. jako też podczas wojny francusko-niemieckiej 1870 r., szczególnie zaś w okresie komuny paryskiej.

Ks. Arcybiskup Lwowski Teodorowicz o Pamiętnikach tych wyraża się w ten sposób: „Jak w bogatym kalejdoskopie, przesuwają się tu historyczne postacie i historyczne chwile, a epoka życia emigracyjnego Polski, życia, o takim bogatym własnym charakterze, tak blizko przez te karty podchodzi ku nam".

Cena księgarska dwóch dużych tomów wynosi 5 rubli. Redakcya jednak „Dzwonka Częstochowskiego", dla swych przyjaciół-prenumeratorów, ustępuje te „Pamiętniki" po wyjątkowo zniżonej cenie, t. j. za **4 ruble.**

Korzyść materyalną ze sprzedaży Szanowny Autor przeznacza na potrzeby Misyi Polskiej.

NA ROK GRUNWALDZKI.

Wyszła z druku wielce interesująca książka z licznemi illustracyami, p. t. **„W szponach pruskiej hakaty"**

Cena 45 kop.

Nabywać można w Administracyi „Dzwonka Częstochowskiego" w Częstochowie i w księgarni W. Lisowskiej, Marszałkowska № 101.

Nakładem redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego" wyszła z druku i jest do nabycia książka p. t.

„PAMIĄTKA KORONACYI"

CUDOWNEGO OBRAZU MATKI BOSKIEJ

na Jasnej Górze w Częstochowie.

zawierająca dokładny i obszerny opis tej wiekopomnej uroczystości. Książkę, która się powinna znaleźć w każdym domu polskim, zdobią liczne illustracye.

(Dla kupujących w większej ilości, znaczne ustępstwo).

Redaktor i Wydawca: **Ksiądz Józef Adamczyk.**

Drukarnia Polska, Warszawa, Jasna 18/20.